DZIŚ
W NUMERZE:

M. BULATOVIC O HISTORII LITERATURY POŁUDNIOWYCH SŁOWIAN ■ J. URBANKIEWICZ O TRADYCJI TEATRALNEJ ■ PROZA F. RAJCZAKA ■ WIERSZE E. FILIPCZUK I Z. SKIBIŃSKIEGO ■ O POLITYCE ROLNEJ W ZAGRODZIE PISZE L. WŁODKOWSKI ■ R. BINKOWSKI O OBYCZAJACH ■ T. SOLDENHOFF O PRZEMIANACH NA PODŁÓDZKIEJ WSI

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 8 (1054)
19 LUTEGO 1978 R.
CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NA SZCZEBLU ZAGRODY

Na piątym kilometrze Drogi Kaszubskiej, tam, gdzie Radunia łączy Kłodno z Małym Brodnem, niedaleko góry Tamowej, na stoku pagórka między Kłodnem i Małym Brodnem, w pobliżu mostu, leży Zagroda. Trochę na uboczu, kilkadziesiąt metrów od wsi.

Zagroda należy do Grzegorza. Odziedziczył ją po ojcu, który przed wojną kupił 11 hektarów pola i łąki na cyplu między Małym Brodnem, Kłodnem i Radunią oba te jeziora łączącym. Do Grzegorzowego ojca należało też kawałek Kłodna, co

Dalszy ciąg na str. 6

DROGA do gwiazd

rozmowa z MIODRAGIEM BULATOVIČEM

Miodrag Bulatović urodził się w roku 1930 we wsi Okladi koło Bijelo Polja na Czarnogórze. Zadebiutował w roku 1956 tomem opowiadań „Diabły nadchodzą". Następnie ukazywały się kolejno jego książki: „Wilk z dzwonkiem" – opowiadania 1959, „Czerwony kogut leci wprost do nieba" – powieść 1960, „Bohater na ośle" – powieść 1967, „Przyszedł Godot" – sztuka teatralna 1968, „Ludzie o czterech palcach" – reportaże 1975, „Piąty palec" – reportaże 1977, „Wojna była lepsza" – powieść 1977.

Za pośrednictwo w rozmowie z Miodragiem Bulatoviciem pragnę serdecznie podziękować tłumaczce jego książek pani Danucie Cirlić-Straszyńskiej.

— Literatura serbo-chorwacka jest bardzo młoda. Jak mi wiadomo, choć może się mylę, kanon języka literackiego został opracowany dopiero w wieku XIX. Jak to się więc stało, że to młode piśmiennictwo, reprezentowane przez tak wybitne nazwiska jak I. Andrić, M. Krleża i nie waham się tego powiedzieć wprost, właśnie Pan — zdobyło w ciągu stulecia rozgłos światowy?

— Nasza literatura nie jest młoda. Właśnie wyjdzie w Polsce z inicjatywy Wydawnictwa Łódzkiego wybór literatury narodów Jugosławii od V do XIV wieku. Będzie to prezentacja największych wartości, jakie kiedykolwiek powstały w naszym języku. Bo z wyroku historii jego rodowód jest złożony: mieliśmy wielkie przerwy w rozwoju kultury i ciągłe okupacje. A okupant zawsze chce, aby pokonany przez niego naród był niepiśmienny. Dlatego mamy literaturę ustną.

Ludowa poezja serbska jest jedną z największych literatur świata. Istnieją dla mnie tylko trzy literackie cudy świata: „Iliada i Odyseja", epos „Kalevala" i właśnie serbskie pieśni ludowe. Chciałbym poznać jakiś czwarty cud tej miary, jeżeli istnieje. Wszyscy pisarze jugosłowiańscy, którzy pisali swoje książki w XVIII, XIX i w naszym już stuleciu nie dorównują tamtemu bezimiennemu narratorowi z ludowej poezji serbskiej. Literatura ustna została u nas wydana w dziesięciu tomach dzięki wielkiemu reformatorowi serbskiemu Karaviciowi. Jest w niej cała nasza historia, filozofia i nadrealizm. Andrić nie byłby tym, kim jest, gdyby nie wyszedł od poezji ludowej. Jego powieść „Most na Drinie" jest przecież inspirowana przez jedną z najpiękniejszych pieśni ludowych.

Moja twórczość jest także całkowicie inspirowana przez poezję ludową, karmi się jej fantazją. Dlatego też mój nadrealizm nie jest tym literackim nadrealizmem, który jako moda pojawił się na Zachodzie. Jest to nadrealizm mojej rodzinnej wsi. Inna sprawa, że potrafiłem wyrazić go przy pomocy środków literackich współczesnego świata. „Czerwony kogut" nie jest zresztą dziełem czysto literackim. To mój pamiętnik intymny a zarazem pamiętniki fantazji mego narodu. Także Bohater na ośle" nie jest figurą literacką, ale czysto ludowym pomysłem. Jego dalsze przygody przedstawione w mojej książce „Wojna była lepsza" są bliższe tradycji opowiadań ludowych o osiedlaniu się Słowian na Zachodzie niż literackim modom naszej epoki.

Mamy ogromną ilość pieśni ludowych, które mówią o zawieraniu małżeństw na Zachodzie w wiekach średnich przez naszych wychodźców. I los Grubana Malicia jest parafrazą tych wszystkich pieśni. Nasi ludzie już w wieku XIV, a także w XV i XVI stuleciu, podobnie jak dzieje się to dzisiaj, jeździli do Wenecji kupować ubrania. Tam często się żenili, ale też często przywozili na Bałkany choroby weneryczne.

— Opowiedział mi Pan tutaj ogromnie zajmująco drogę jaką przebyła literatura jugosłowiańska od poezji ludowej aż po czasy ostatnie. Chciałbym teraz wiedzieć, jaka była Pana własna droga do literatury. Tym bardziej że jak mi wiadomo, zadebiutował Pan bardzo młodo. Jakie były pańskie doświadczenia życiowe przed tym debiutem?

— Zadebiutowałem dość wcześnie, ale bardzo późno przeczytałem pierwszą książkę. Dopiero wtedy, gdy miałem szesnaście lat. Wtedy też zobaczyłem po raz pierwszy żarówkę elektryczną i pociąg. Jako dziecko pilnowałem bydła. Ale znałem na pamięć te wszystkie ludowe pieśni, o których już panu powiedziałem tyle słów zachwytu. To była moja biblioteka i moja galeria, mój komiks i mój western, bo przecież serbska poezja ludowa jest bezkresnym westernem.

Dalszy ciąg na str. 3

MOJE PRYWATNE „SZCZUPAKI"

Okres **Festiwalu Olsztyńskiego** charakteryzują wzmożone i pracowite zabiegi organizatorów o skupienie szczególnej uwagi społecznej na produkcji naszej telewizji. Programy, które i tak budzą zainteresowanie na co dzień, podlegają tu wartościowaniu i nobilitacji.

Będę może uznany za obrazoburcę, jeśli stwierdzę, że osąd wysokiego jury festiwalowego często drepcze za werdyktem wydanym już uprzednio przez telewidzów, pragnie utrafić nagrodami w te właśnie akceptowane już i uznane powszechnie pozycje programowe. W takim sensie wtórne uznać należy „Grand Prix" dla serialu **„Polskie drogi"**, „złote szczupaki" dla Kazimierza Kaczora, czy programu „Zezem". Oryginalnością sądów, jury miało okazję błysnąć na ogół tylko tam, gdzie w grę wchodziły pozycje jeszcze nie emitowane.

Na liście nagrodzonych pojawiło się również nazwisko **Jana Świderskiego** za kreację aktorską w roli Ojca w **„Niespodziance"** Karola Huberta Rostworowskiego. Tę nagrodę zaliczyłbym także do oczywistych. Dawno nie oglądaliśmy na małych ekranach takiego wspaniałego recitalu gry aktorskiej, jaki zgotował nam niedawno właśnie Świderski. Chyba słusznie też wyróżniono nie spektakl, ale aktorstwo, będące moim zdaniem pełnym uzasadnieniem wyboru zmurszałej już porządnie sztuki, która powstała w 1929 roku.

Wiemy, że nie dla wszystkich utworów dramatycznych upływ czasu jest równie bezwzględny. Zaryzykuję twierdzenie wbrew wielu opiniom, że dla „Niespodzianki" te niepełne pięćdziesiąt lat okazały się surowe. Wyobraźmy sobie prezentację jej bez Świderskiego! Nie sądzę, by mogłaby nas zainteresować.

Przy okazji emisji telewizyjnej mówiło się sporo o tradycji, w jaką obrosła „Niespodzianka", o legendarnej kreacji Ludwika Solskiego w tejże roli Ojca. Określono zamiar Świderskiego jako śmiałą próbę zmierzenia się z mitem. Odwagi trzeba zapewne zawsze, gdy w grę wchodzi funkcjonujący w świadomości społecznej mit. Zastępuje on bowiem oceny racjonalne, obwarowuje się jakby w ludzkich umysłach, nie dopuszczając do jakiejkolwiek rewizji.

Świderski nie zląkł się tych fortyfikacji, zaatakował z rozmachem i zwyciężył. Ma on wrażenie, że odtąd rolę Ojca w sztuce Rostworowskiego łączyć się będzie raczej z jego nazwiskiem niż Solskiego. Po prostu Solski to już sprawa archiwalna, a Świderski to żywy teatr żywe aktorstwo, przemawiające do nas pogłębioną wiedzą o psychice ludzkiej, która jest dziś z pewnością bogatsza w doświadczenia niż za czasów Solskiego.

Realizacja telewizyjna „Niespodzianki", którą Świderski firmował również jako reżyser, była raczej oszczędna w środki, nie uciekała się do dużych możliwości, jakie stwarza telewizyjna technika przekazu, nie wychodziła z wnętrza studia w plener. Słowem był to „czysty" teatr telewizji w kształcie, jaki panował dawniej w tym gatunku widowiska. Dziś jak wiadomo granica między teatrem telewizji a filmem telewizyjnym zaciera się coraz bardziej, zapis i montaż elektroniczny stwarzają na tym polu nieograniczone możliwości.

Jeżeli **„Niespodzianka"** pozostaje w narzuconych sobie dobrowolnie tradycyjnych ograniczeniach, to przecież nie przestaje tym samym funkcjonować w swoim ekranowym efekcie jako widowisko filmowe. Świderski jest tego głęboko świadom, nie wprowadza więc do swojej gry elementów ekspresji scenicznej, nie teatralizuje jej, nie wyolbrzymia, a przeciwnie wycisza i minimalizuje gest, mimikę, przekaz słowa. Daje więc nam wzorzec aktorstwa par excellence filmowego, choć przygotowywanego podczas prób metodą teatralną.

Może wyrażam się niejasno? Chodzi mi o to, że aktor opracowuje rolę, jak w teatrze, w całości, w jej konsekwentnym, chronologicznym rozwoju, pamięta jednak przy tym, że efekt jego pracy będzie zarejestrowany na taśmie magnetycznej, że zbliżenia kamer ukażą widzowi jego twarz wyolbrzymioną i że trzeba wobec tego szafować środkami wyrazu ostrożnie, wręcz ich skąpić, by uniknąć sztuczności i przerysowań.

Ta rola Świderskiego zostanie nam na długo w pamięci. Mam też przekonanie, że niejeden reżyser telewizyjny, czy filmowy, korzystający butnie z bogactw techniki przekazu, wiele może się od „Świdra" o aktorstwie w ogóle, a telewizyjnym w szczególności nauczyć.

☆ ★ ☆

„Medeę" w reżyserii **Jerzego Wójcika** uznać należy za wyróżniający się spektakl teatru telewizji spośród nadanych w ostatnim okresie. Aż dziw, że jury olsztyńskie nie dopatrzyło się w żadnym z jego komponentów wartości kwalifikujących do nagród festiwalowych! Podobnie jak trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego współtwórcy warszawskiego Teatru Adekwatnego realizują swoje widowiska telewizyjne, korzystając ze skromnych możliwości szczecińskiego studia, a nie są dopuszczani do technicznych bogactw centrum przy ulicy Woronicza.

Może dlatego, że wszystko w tym zespole nietypowe. Główne role kobiece gra inżynier-budowniczy, absolwentka Politechniki Łódzkiej, **Magda Teresa Wójcik**, która do perfekcji aktorskiej doszła bez studiów teatralnych, metodą samouka. **Henryk Boukołowski**, główny wykonawca ról męskich, reżyser i dusza Teatru Adekwatnego, porzucił dla tej właśnie eksperymentalnej scenki „normalny" teatr, mimo że wystartował świetnie i mógł liczyć na błyskotliwą karierę. Wreszcie **Jerzy Wójcik**, słynny operator filmowy, w nowej roli adaptatora i reżysera. Czyżby taka ekipa budziła nieufność u telewizyjnych profesjonalistów?

Nie próbujmy zgłębiać tych tajemnic, które być może w ogóle tajemnicami nie są, i porzuciwszy ten trop zajmijmy się samym spektaklem, przyznając mu trzy prywatne „szczupaki": za reżyserię, za kształt wizualny i za grę protagonistki.

Pierwsze dwa składniki omówić należy łącznie, gdyż o obu decyduje praca koncepcyjna reżysera, w drugim przypadku wspomagana przez operatora kamery i scenografów. Tragedię królewny kolchidzkiej i jej straszliwą zemstę na niewiernym mężu wypreparowuje Wójcik z całej właściwej dramatom antycznym tkanki metafizycznej, ponadzmysłowej, szukając jej racjonalnych, ludzkich motywacji. Takie odczytanie „Medei" uzasadnione jest sceptyczną postawą samego Eurypidesa wobec ingerencji świata bogów w działania śmiertelnych. W przeciwieństwie do swych wielkich poprzedników — Ajschylosa i Sofoklesa — Eurypides mało interesuje się sprawami nadprzyrodzonymi, choć dla zachowania pozorów od nich nie stroni. Uwagę swoją skupia na zgłębieniu zagadki, jaką jest psychika ludzka i jej egzystencja.

Realizacji założeń reżysera służy mocne zakotwiczenie mitu w realnym środowisku. Całość widowiska rejestrowana jest kamerą filmową w starannie wybranym plenerze. Doskonały i metaforyczny równocześnie widok przelewających się fal morskich atakujących skaliste wybrzeże określa otoczenie naturalne, zaś pozostałe po ostatniej wojnie ruiny budowli, spękane betony, poskręcane pręty konstrukcji stalowych, są miarą arbitralności i zarazem bezsiły człowieka. Nie trzeba dodawać, jak sama selekcja krajobrazu i faktura budowli znakomicie służy wydobyciu nastroju tragedii. Uwypuklają to mistrzowsko dopracowane kadry filmowe.

Zmierzam ku interpretacji roli tytułowej przez Magdę Teresę Wójcik. Do generalnych założeń spektaklu jej aktorstwo, wyrosłe z indywidualnego emocjonalnego przeżycia, nie skażonego jakąkolwiek stylizacją teatralizacją, obliczoną na efekt ekspresją, przystaje idealnie. Aktorka jest nosicielka elementarnych, biologicznych wręcz odczuć kobiecych. Nie jest przy tym ani polska ani grecka, ani dworska ani ludowa, ani współczesna ani antyczna, stara się bowiem wydobyć tylko to co wspólne dla wszystkich kobiet niezależnie od epoki, stopnia cywilizacji, pozycji społecznej i szerokości geograficznej.

Nie broni swojej Medei (bo czyż można?), jej obłędnej nienawiści, podstępu do jakiego się ucieka by wywrzeć zemstę, ani tym bardziej dzieciobójstwa. Jedyne jej usprawiedliwienie to fakt, że jest człowiekiem i bezsilną, głęboko skrzywdzoną kobietą. Jej wstrząsający lament nad zwłokami synków stanowi wyraz wyrównania strasznego rachunku, kary wymierzonej samej sobie za zbrodnię, jakiej się opanowana szałem dopuściła.

Oto moje prywatne „szczupaki"!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SPOTKANIE Z PROF. J. TOPOLSKIM

W końcu stycznia, w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych w Łodzi odbyło się zebranie szkoleniowo-teoretyczne, poświęcone w całości dyskusji nad książką „Marksizm i historia". W zebraniu wziął udział autor książki, członek rzeczywisty PAN, prof. dr hab. Jerzy Topolski z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

Otwierając dyskusję prof. J. Topolski podkreślił, że widzi swoją książkę jako zbiór studiów, refleksji i przemyśleń rozwijających i pogłębiających jego wcześniejszy dorobek naukowy zawarty głównie w książce „Metodologia historii". Autor określił swoją pracę „Marksizm i historia" jako istotny element w rozwoju nowej metodologii i teorii historii, niezbędnych dla badań w duchu przełomu antypozytywistycznego. Ów przełom zapoczątkowuje przejście od badań rzeczywistości w sposób powierzchowny, opisowy, do badań ujmujących całościowo proces społeczny.

Dyskusję podsumował prof. J. Topolski.

Udział prof. J. Topolskiego w zebraniu szkoleniowo-teoretycznym i dyskusji wniósł bardzo wiele do rozszerzenia wiedzy, niezbędnej w badaniach naukowych oraz pracy dydaktycznej pracowników Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Łodzi.

(c-n)

☆ ☆ ★

Muzeum Sztuki w Łodzi gościło w styczniu i lutym wystawę „Sztuka współczesna Wielkiej Brytanii", przygotowaną przez British Council i Ministerstwo Kultury i Sztuki. Wystawa była reprezentacyjnym przeglądem dzieł znanych polskiej publiczności artystów jak Bridget Riley, Keneth Martin — współtwórców żywego do dzisiaj nurtu wizualnego a także mniej popularnych, jak Mark Boyle, Bernard Cohen, Keith Milow, Tom Phillips, Carl Plackman czy Richard Smith — reprezentujących aluzyjne lub abstrakcyjne pojmowanie rzeczywistości.

Brytyjską wystawę oglądali wcześniej widzowie Wrocławia; w lutym będzie pokazywana w Warszawie.

KOMUNIKAT

Urząd Miasta Łodzi — Wydział Kultury i Sztuki, Urząd Wojewódzki w Sieradzu — Wydział Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi oraz Wydawnictwo Łódzkie ogłaszają z okazji XII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji Łódź — Sieradz, 11 — 13 maja 1978 r. trzy konkursy otwarte:

1) Na analityczne omówienie dowolnie wybranego, drukowanego w kraju przekładu wiersza lub poematu z XX-wiecznej poezji krajów socjalistycznych. Objętość takiej recenzji nie powinna przekraczać pięciu stron znormalizowanego maszynopisu, w 3 egzemplarzach. Należy ją zaopatrzyć w godło autora i dołączyć do niej analizowany przekład wraz z oryginałem. W konkursie tym przewidziane są następujące nagrody: I w wysokości 4.000,— zł, dwie II po 2.500,— zł, trzy III po 1.500,— zł.

2) Na tom wierszy nie publikowany dotąd nigdzie drukiem i stanowiący debiut poetycki: przewiduje się jedną nagrodę ufundowaną przez Wojewodę Sieradzkiego w wysokości 10.000 — zł, dla najlepszej z nadesłanych prac i ewentualne wydanie jej drukiem przez Wydawnictwo Łódzkie.

Prace konkursowe w formie maszynopisu w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem autora należy nadsyłać pod adresem Związku Literatów Polskich Oddział w Łodzi, ul. Mickiewicza 8, 90-444 Łódź z dopiskiem: „Konkurs na debiut poetycki" lub „Konkurs na recenzje", w terminie do dnia 15 kwietnia 1978 r. Do tekstów winna być dołączona koperta zawierająca godło autora, jego imię i nazwisko oraz dokładny adres. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w czasie trwania XII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji.

3) Na ogłoszone drukiem w okresie od 1. IV. 1975 do 31. III. 78 r. szkic, książkę lub esej o sztuce przekładowej. Przewiduje się jedną nagrodę w wysokości 10.000,— zł.

Jury zastrzega sobie inny podział nagród.

WYJAŚNIENIE

W ubiegłym tygodniu zakończyliśmy druk 6 odcinków najnowszej powieści Edwarda Kopczyńskiego pt. „Miłość i medycyna". Niniejszym w uzupełnieniu podajemy, że powieść ta ukaże się nakładem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.

WIZYTÓWKA ŁODZI LITERACKIEJ

Inicjatywa, z jaką wyszło Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki" okazała się bardzo potrzebna: wydawcy od lat nie mieli takiej okazji do zaprezentowania swojego dorobku edytorskiego. W Rynku Starego Miasta w Warszawie, w Klubie Księgarza, rozpoczęły się cykle spotkań, na których poszczególne oficyny wydawnicze zaczęły prezentować nie tylko to, co już zostało wydane, lecz w dyskusjach z pisarzami, księgarzami i czytelnikami mówiło się też sporo o zamierzeniach na przyszłość.

Wydawnictwo Łódzkie jest czwartym z kolei, którego książki wypełniły gabloty Klubu Księgarza. Przedtem swoje wystawy miały: PIW, MON i LSW. Czwarta pozycja na liście wystawców stanowi dowód, że łódzka oficyna przestała być przysłowiowym wydawcą regionalnym, stała się współtwórcą ogólnokrajowej kultury. Bowiem nie jest prawdą, że tylko wydawnictwa centralne mają status wydawnictw ogólnopolskich, jak nie jest prawdą, że istnieje literatura warszawska i literatura pozastołeczna. Przecież autorzy z Warszawy z równym powodzeniem i coraz częściej drukują swoje książki w oficynach mieszczących się w Łodzi, Krakowie, Katowicach czy Poznaniu.

W czasie otwarcia wystawy w Rynku Starego Miasta dyrektor WL, dr JACEK ZAORSKI, mówił o historii, dniu dzisiejszym i o przyszłości łódzkiej oficyny wydawniczej. Pisarze, krytycy, pracownicy „Domu Książki" interesowali się przede wszystkim seriami, które wydawane są coraz staranniej i w ciekawym opracowaniu graficznym. Dużo pochwał zebrała „Biblioteka Poetycka", zapoczątkowana jeszcze przez Stanisława Czernika, jako „Biblioteka Poetów". W ciągu minionych dwóch lat w tej serii ukazało się 11 tomików, w tym roku wyjdzie 6 następnych (T. Chróścielewski, B. Sikorski, M. Kuźniak, T. Soldenhoff, R. Orlewski oraz — po długim okresie milczenia — Jerzy Waleńczyk).

Rok 1978 będzie także bogaty, nowymi pozycjami prozatorskimi (W. Biliński, R. Binkowski, A. Barłóg, H. Czyż, J. Dackiewicz, E. Iwanicki, W. Krzemiński, E. Kopczyński, W. Orłowski, H. Panas, W. Rymkiewicz, B. Sztajnert, E. Szuster, J. Wawrzak, oraz debiut M. Miszalskiego). Wszystkie te książki dotyczą współczesności, jedynie powieść Jadwigi Dackiewicz nawiązuje do epoki napoleońskiej.

Duże zainteresowanie wzbudziła seria przekładów z literatury narodów Jugosławii oraz antologie radzieckie. Wydawanie tych książek jest wynikiem skupienia przy WŁ zespołu młodych tłumaczy, którzy mogli zadebiutować przekładami.

Nie tak dawno redakcja „Nowych Książek" wytypowała 10 najlepiej opracowanych i wydanych książek w roku ubiegłym. Wśród tej dziesiątki znalazło się Wydawnictwo Łódzkie z książką „Jak unieść wierszem Twoją chwałę..." Jest to dowodem, iż łódzka oficyna wydawnicza równa do najlepszych.

Zastanawia fakt, że na wystawie zabrakło dziennikarzy z Łodzi. Cokolwiek by nie mówić, wystawa na Rynku Starego Miasta w Warszawie jest dość ważnym wydarzeniem kulturalnym dla naszego miasta, jest bowiem wizytówką nie tylko samego wydawnictwa, ale wizytówką Łodzi literackiej. Niestety, nie widziałem żadnego z kolegów z gazet codziennych, radia czy telewizji...

A wystawa, która trwać miała parę dni, na prośbę organizatorów została przedłużona do końca lutego... To także o czymś świadczy.

E.I.

Kol. JANOWI KOPROWSKIEMU

b. redaktorowi naczelnemu „ODGŁOSÓW" z okazji 60-lecia urodzin – najlepsze życzenia sukcesów w pracy literackiej i działalności społecznej.

Zespół „ODGŁOSÓW"

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1977".

Tadeusz Chróścielewski . . . . . .
Kazimierz Dębski . . . . . .
Wojciech Drygas . . . . . .
Teresa May–Czyżowska . . . . . .
Waldemar Podgórski . . . . . .
Włodzimierz Saar . . . . . .
Jerzy Samujiło . . . . . .
Lech Sosnowski . . . . . .
Paweł Udorowiecki . . . . . .
Barbara Wójcicka . . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .
Zawód . . . . . .

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI, GLANC.

DROGA do gwiazd

rozmowa z MIODRAGIEM BULATOVIČEM

Dalszy ciąg ze str. 1

Literacko uformowała mnie czarnogórska wieś. Wystarczyło mi potem liznąć nieco gramatyki, żeby pisać. Tak było aż do tej pory, gdyż obecnie zaniedbuję gramatykę i coraz bardziej staram się w swojej twórczości zbliżyć do bezimiennego ludowego narratora o ogromnej wyobraźni. Nie znaczy to jednak, że wracam do literatury prymitywnej. Wprost przeciwnie. Zebrawszy wiele doświadczeń, bogato wyposażony wracam do dawnej, prostej literatury i do starego złota. Jest to prawdziwa droga do gwiazd.

Moja twórczość stanowi zaprzeczenie literatury snobistycznej, nie uznaję bowiem żadnej teorii. Wiem wiele, jeśli nie wszystko, ale ukrywam to. Także teoretycznie jestem dobrze przygotowany, a nawet wykształcony, ale nie lubię o tym mówić.

— Do czasu, gdy Ivo Andrić otrzymał Nagrodę Nobla znaliśmy w Polsce literaturę narodów Jugosławii przez książki bohaterskie, a ściślej, przez ich filmowe adaptacje, bo docierały do nas głównie filmy o komunistycznej partyzantce. Czy taki obraz rzeczywistości zarejestrowany przez współczesną literaturę wynikał z doświadczenia historycznego czy też takie było po prostu po wojnie zamówienie społeczne, na które starali się odpowiedzieć wasi pisarze?

— Taki obraz rzeczywistości był prawdopodobnie potrzebą pisarzy tworzących książki bohaterskie. A może taka była także potrzeba społeczna, choć nie jestem o tym tak głęboko przekonany. Bardzo prędko jednak dała o sobie znać nowa potrzeba: opowieści o losie jednostki uwikłanej w historię.

Osobiście nie mam nic przeciwko tym, którzy tworzyli wielkie historyczne freski. Nawet mi one odpowiadają, bo dały wiele materiału który dla nowych pisarzy stanowi bazę. Można się do niej zwracać i czerpać tworzywo. Bo niektóre z tych słynnych książek będą pewnego dnia tylko samym brulionem. Niektórzy z tamtych znanych pisarzy nie mogli zresztą w tym czasie wyrażać własnych doświadczeń w dopracowanym warsztatowo przekazie literackim. Musieli pewne sprawy po prostu zarejestrować.

Twórczość nowego pokolenia pisarzy była rodzajem pewnej szlachetnej reakcji na to, co literatura zrobiła wcześniej. Mogę o sobie powiedzieć, że cała moja twórczość wyrosła ze sprzeciwu wobec konserwatywnych zapatrywań na rolę literatury. Nie tylko w Jugosławii, ale także w innych krajach. Gdy byłem we Włoszech wszyscy dookoła opowiadali mi o bohaterstwie armii włoskiej. To samo usłyszałem o Niemcach w RFN i o Francuzach we Francji. To mnie ogromnie denerwowało i postanowiłem podjąć próbę kontry wobec wszystkich. Postanowiłem dowieść, że to ludzie mali, tacy jak Grubar Malić, tworzyli historię. Że to oni wygrali II wojnę światową i zdobyli III światowy pokój.

Mogę powiedzieć, że moje książki są z jednej strony rodzajem mego pamiętnika, z drugiej zaś wyrazem mojej miłości i równego jej gniewu. Protest przeciw konfekcyjnemu światu, a zwłaszcza przeciw konfekcji w literaturze z gotowymi wzorami zachowań i takiemu pojmowaniu wojny, wyraziłem również poprzez erotyzm moich książek. Stąd tyle erotyzmu i seksu w mojej twórczości. Jestem z zasady przeciwnikiem pornografii i tą straszliwą bronią, jaką jest seks i seksualna literatura pragnę wyśmiać patetyzm literatury bohaterskiej. Dlatego prostytutka Marika, jedna z głównych postaci „Bohatera na ośle" trzyma stale między nogami włoską czapkę wojskową. Kto nie rozumie, co to wyraża, w ogóle nie zrozumie moich książek. Ta sama Marika zostając kochanką włoskiego generała nazywa go pieszczotliwie „Primitivo". Bo uważa, podobnie jak ja, że ci, co poszli na wojnę, są ludźmi prymitywnymi. Dlatego wyśmiałem ich. Jestem po stronie Mariki i Malicia.

— A czy Pana nie bolało, że takie książki jak „Czerwony kogut leci wprost do nieba" czy też „Bohater na ośle" były znacznie lepiej przyjmowane na świecie niż w Jugosławii. Pisarz chciałby przecież odwoływać się od tych czytelników, w których języku powstają jego książki. Tymczasem, przynajmniej na początku, pańskie książki budziły zachwyt za granicą, natomiast sprzeciwy i opory w kraju, gdzie powstały.

— Byłem bardzo nieszczęśliwy. Całe lata cierpiałem. Ale wiedziałem, bo dobrze pamiętam ludową myśl o przemijalności wszystkiego, że to minie i znajdę się w kraju na swoim miejscu. Nie ma we mnie żadnej chęci zemsty, na szczęście jednak jestem Słowianinem. Lubię wszystkich tych, którzy byli przeciwko mnie i wydaje mi się, że to ich najbardziej boli. Przez cały ten czas nieobecności w rzeczywistości literackiej mego kraju pisałem, tak więc nie widać tego, że mnie nie było w pewnym okresie. Nigdy zresztą nie przestawałem być ambasadorem kultury Jugosławii i jej literatury, nawet wtedy, gdy moje nazwisko nie pojawiało się w naszych gazetach. Wszystko co pisałem, co piszę i co będę pisał będzie służyło sławie mojego narodu.

— Kiedy skończyła się wojna miał Pan piętnaście lat. A jednak w pewnych książkach odwołuje się Pan do doświadczenia wojennego. Czy jest to próba odnalezienia samego siebie w doświadczeniu historycznym narodu czy też to tylko próba odpowiedzi na pewne książki, które sprzeczne są z Pańskim widzeniem wojny. Innymi słowy: czy powodowała Panem chęć polemiki, czy też przyczyny były głębsze, bardziej intymne?

— Pisarz zazwyczaj pisze o tym, co przeżył najintensywniej. Dla dziecka, którym byłem w latach wojny, największą sensacją jest strzelanie i właśnie to strzelanie opisałem w swoich książkach. I to był podstawowy motyw. Z drugiej strony powodowała mną chęć pokazania, że wojna nie wygląda wcale tak, jak wielu o niej pisze. Nie pisałem przecież o dywizjach i wielkich armiach, tylko o biednej ludności, która ze swymi kogutkami oczekuje nadejścia wolności. Odsyłam tu pana do mego zbioru opowiadań „Największe tajemnice świata", który ukazał się niedawno w Polsce w czytelnikowskiej serii „Nike". Najlepsze moje utwory tam umieszczone mówią albo o dzieciach, albo o zwierzętach: byk, pies, jagnię, koźlę, jakieś armie i jacyś żołnierze niewyraźnie zarysowani. Uważam, że tak się powinno pisać o historii, przynajmniej ja tak piszę historię. Piszę to i prywatnie, intymnie i jednocześnie z premedytacją, bo tak należy pisać.

— Historyczne doświadczenia narodów Jugosławii i narodu polskiego były w XX wieku niemal identyczne. I wy, i my, ponieśliśmy największe ofiary w wojnie. Nasz ruch oporu i wasza partyzantka dały o sobie znać w okupowanej Europie. A po wojnie nasze kraje wkroczyły na drogę budownictwa socjalistycznego. Dlatego interesuje mnie, czy zetknął się Pan z literaturą polską poświęconą tym sprawom? Jaki obraz tamtych lat wyrobił Pan sobie na podstawie tych lektur? Czy polski czytelnik Pańskich książek dowie się z nich tyle samo o drodze, jaka przebyła w tym czasie Jugosławia? Jestem zwolennikiem wycieczek zagranicznych, ale sądzę, że mogą one dostarczyć tylko przelotnych wrażeń, a jeśli o jakimś kraju chcemy się dowiedzieć czegoś więcej i głębiej, to musimy odwołać się do jego literatury noszącej znamię czasu.

— Sądzę, że to, co dotychczas zostało napisane o tych sprawach zarówno w Polsce jak i w Jugosławii, to bardzo mało. To są właściwie tylko jakieś znaki i sygnały. Cierpienie tamtych czasów było cierpieniem biblijnym i domaga się czegoś większego niż te książki. Nie tylko zresztą w latach okupacji, ale i wcześniej, słowiańskie cierpienie było właściwie bezgraniczne. Literatura potrafiła je oddać tylko w bardzo nieznacznym stopniu. Wierzę więc w tych, którzy jeszcze nie napisali swoich książek. Ci ludzie któregoś dnia przemówią i pojawią się nowe, lepsze książki. Także pamiętniki. I one właśnie będą jakby częścią wielkiego słowiańskiego cierpienia, ogólnosłowiańskiego cierpienia, którego jestem drobnym pyłkiem. Te książki, pamiętniki, listy będą załącznikiem do historii rzeczywistego ludzkiego cierpienia. Gdy mówię o sobie, czuję się wciąż słaby porównując swoją twórczość z naszą naprawdę wielką poezją ludową. I nie potrafię dla niej znaleźć właściwego odpowiednika w naszej całej współczesnej prozie. Sam także nie potrafiłem stworzyć ekwiwalentu tej poezji. Bo jestem mały. Mam tylko jedną głowę, jedno życie i jedno serce.

Dlatego całą nadzieję swego pisarskiego życia pokładam w książce, którą dopiero obmyślam, a która będzie nosiła tytuł „Gwiazda w gardle". Będzie to opowieść o południowych Słowianach, którzy łykali gwiazdy. Jeden z moich bohaterów pewnego dnia nie mógł przełknąć którejś gwiazdy. Ale nie mógł jej też z siebie wyrzucić. I to będzie napisana przeze mnie historia mojego narodu.

— Miałem ochotę zapytać Pana jeszcze o nie napisaną książkę, ale uprzedził Pan moje pytanie. Serdecznie dziękuję, że znalazł Pan czas na odbycie tej rozmowy, która mam nadzieję, przybliży Pana polskiemu czytelnikowi.

— Chciałbym, aby przeczytawszy tę rozmowę, czytelnik nie odniósł wrażenia, że piszę tylko o kogutach. I ja panu dziękuję.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

KULTURA W BRZEŹNIU

W woj. sieradzkim jest zaledwie 9 GOK, choć gmin jest o wiele więcej. Powołać taki ośrodek jest łatwo, zapewnić jego właściwy rozwój — jest już trudniej. Często bywa, że władze nie bardzo wiedzą, co robić z taką placówką, która od momentu powstania dobija się samodzielności. Nieporozumienia wynikają, gdy mowa o finansach. Urząd Gminy na działalność GOK przeznacza 40 tysięcy złotych. Resztę ośrodek musi sam wypracować. Z grubsza wiemy, jak to wygląda: zabawy dochodowe, imprezy typu wesele czy zaręczyny. GOK jest jednostką budżetową, ale naczelnicy gmin nie patrzą łaskawym okiem na to, by na ich terenie prosperowały zakłady nie objęte ich kontrolą. Dlatego też GOK-i dążą do uzyskania własnego konta w Banku Spółdzielczym, by móc dysponować zarobionymi pieniędzmi.

Zaczyna się przeto cicha wojna.

Urząd Gminny zdecydowanie ingeruje (na zasadzie: płacę — więc chcę wiedzieć za co) w każde przedsięwzięcie, jakie podejmuje GOK, każdorazowo zatwierdza na sesji program pracy ośrodka, skrupulatnie sprawdza, by imprezy odbywały się najmniejszym kosztem, by gdzieś nie przepłacono...

40 tysięcy rocznie na działalność Gminnego Ośrodka Kultury. To dużo czy mało?

Wystarczająco, aby urządzać dyskoteki przy muzyce z płyt, ale za mało, by rozwinąć szerszą działalność. Sprowadzenie dobrego prelegenta, urządzenie wieczoru autorskiego z pisarzem, zaproszenie solistów z Teatru Wielkiego czy kogoś z telewizji — poważnie uszczupli ten mikroskopijny budżet. A przecież GOK na wsi ma być zminiaturyzowanym wojewódzkim domem kultury. Ma nie tylko importować kulturę z zewnątrz, ale otoczyć opieką i przyciągnąć mieszkających w okolicy twórców ludowych, ma prowadzić zajęcia z młodzieżą w sekcjach zainteresowań, nadzorować i koordynować pracę klubów „Ruchu", „Rolnika" i świetlic znajdujących się na terenie gminy... Czegokolwiek by nie dotknąć, trafi się od razu na finanse.

Przedstawiam tutaj jeden z dziewięciu Gminnych Ośrodków Kultury woj. sieradzkiego, mianowicie GOK w **Brzeźniu.** Od chwili swoich narodzin był dzieckiem nieudanym i podejrzewam, że władze żałowały swego pochopnego kroku. Od początku najważniejszą sprawą okazała się sprawa powołania dyrektora ośrodka. Najpierw zatrudniono dziewczynę po liceum ogólnokształcącym, nie mającą żadnego przygotowania do pracy „w kulturze". Natychmiast to odbiło się na działalności GOK. Dziewczyna gubiła się w gąszczu przepisów, nie umiała porozumieć się z wiejską młodzieżą, nie potrafiła zapewnić pracy sekcjom zainteresowań. Odeszła. Wówczas z Urzędu Gminnego oddelegowano referentkę, bo może jej się uda.

Nie udało się.

GOK przez kilka miesięcy był nieczynny.

Wreszcie ktoś wpadł na kapitalny koncept: w gminie jest potrzebny referent, więc zatrudnijmy kogoś na stanowisku dyrektora GOK, człowiek podkształci się, oblata w sprawach papierkowych, to potem go zabierzemy do urzędu. A GOK? Stał tyle bez opieki, to niech stoi dalej.

Ale człowiek nie wytrzymał, uciekł po trzech miesiącach.

Gminny Ośrodek Kultury w Brzeźniu koło Sieradza do końca ubiegłego roku praktycznie nie istniał.

Tu ciekawostka: Od chwili powołania GOK w Brzeźniu, tj. przez dwa lata Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu szkolił tych wszystkich kolejnych dyrektorów, pomagał...

Od stycznia br. nowym dyrektorem została **Urszula Kendrzeńska.** Przez wiele lat była odpowiedzialna za działalność klubów „Ruchu" w woj. sieradzkim. Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego liczy, że w gminie Brzeźno coś się zacznie dziać. Co prawda nowa dyrektorka co dzień dojeżdża do swojego ośrodka ponad 20 kilometrów, przecież już coś się tam ruszyło, już zaczęła przychodzić młodzież, powstały sekcje zainteresowań. Kiedyś była tu orkiestra młodzieżowa — pozostały jedynie instrumenty i wszystko trzeba montować od początku. Z nowych zespołów już powstał Klub Miłośników Teatru TV oraz Towarzystwo Kultury Teatralnej Oddział Gminny. Urszula Kendrzeńska rozesłała więc po okolicznych wsiach: twórcy ludowi zostaną otoczeni opieką i otrzymają pomoc. Tak zawiązała się sekcja rzeźbiarska, przewodzi jej utalentowany **Darek Sośnicki,** którego świątki rzeźbione w drewnie zdobią biuro GOK.

— Co z tego, że zorganizuję kilka sekcji, stworzę teatr, skoro nie mam miejsca, gdzie zespoły mogą ćwiczyć i pracować — mówi dyrektorka. — **GOK ma do dyspozycji dwa pomieszczenia: pokój, gdzie mam biuro i trzymam sprzęt oraz salę widowiskowo-taneczną. Ale zima sala jest nieczynna, piece nie są w stanie jej ogrzać. Z konieczności więc wszyscy przychodzą do biura. Ale i tu jest zimno, siedzimy w kożuchach. Ośrodek nasz mieści się w remizie straży pożarnej, pod nami stoją wozy bojowe, a obok znajduje się sala zabaw.**

Gminnemu Ośrodkowi Kultury w Brzeźniu podlegają cztery kluby „Ruchu", trzy kluby „Rolnika" oraz cztery świetlice prowadzone przez urzędy gminne. Wszystkie te placówki znajdują się w promieniu 4 km od GOK. Jednakże dotrzeć do niektórych zimą jest trudno, wieczorami nie ma autobusów powrotnych. Niektóre z wymienionych placówek są prowadzone dość dobrze, inne wymagają szybkiej interwencji czy to ze strony PUPiK „Ruch" czy Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Najgorzej jest w świetlicach pozostających w gestii Urzędów Gminnych — służą one przede wszystkim do zebrań i różnych imprez okolicznościowych. Na pytanie, dlaczego nie ma żadnej działalności kulturalnej, kierownicy tych świetlic odpowiadają, że nie mają węgla do pieców. — Czekamy na lato — mówią.

Takie argumenty nie mogą przekonać. Latem młodzi ludzie, od świtu do zmroku są w polu. W czasie siewów czy żniw nie ma czasu chodzić do świetlicy. Właśnie teraz, zimą można organizować odczyty, potańczyć, obejrzeć film.

Tak więc teraz nie można prowadzić działalności kulturalnej — bo zimno, latem — nie będzie z kim.

Błędne koło.

Jeszcze jedna refleksja: Gminny Ośrodek Kultury winien być czynny po południu. Dyrektorka mimo chęci i zapału, z jakim zabrała się do pracy, nie jest w stanie przebywać w nim przez całą dobę. Przyjeżdża rano, jak zalecono, a we wtorki i piątki po południu. W inne wieczory GOK w Brzeźniu jest nieczynny. Myślę, że ciągle gdzieś czegoś nie załatwiono do końca.

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: Archiwum

FELIKS RAJCZAK

MAŁE PROZY

ZMIERZCH NA ŁĄKACH

Na łąki schodzi zmierzch.
Chłop kosi potraw, powoli posuwając się w zachód.
Kosą zacina zorzę. Zorza krwawi, rudzieją trawy.
Krew zorzana zalewa opuszczone gniazda w mchu łąk.
Kosiarz wiosłuje kosą, wypływa z wieczornej mgły — dobił do łęgowego gościńca.

Drogą nie opodal galopuje bułan. I on bez stajni i bez obroku. Dla niego siana suszą się na gwiaździstych łąkach.
Ucicha tętent dnia.
Kosa zawadza o kamień nocy.

POZDROWIENIE

Moja daleka, nie przyjadę już do twego miasta, w innym mieście uwięziony, pozdrawiam cię, obywatelko morza i ciszy. Żegnaj — przez wody co nas dzielą, przez powietrze co nas osłania — mówię ci: do nie zobaczenia...

Na tej ziemi nasze drogi się rozeszły. Ach, jak ziemia śpiewa. Jakaż radość na morzach niebieskich!

OGARNIJ POLE

Ogarnij pole złożonego myślenia, skoś piołun, przeorz je wzdłuż i na poprzek uprawiaj aż jego materia będzie sypać się przez palce, pulchna pachnąca azotem z moczu i potu, elastyczna jak glina rozrobiona w oleju — wtedy wsiej jedno ziarno przypowieści...

Wyjdą na brzeg lasu wilkołaki i lisy, kruki wyfruną z głębi olszynowych zagajników i przyglądać poczną się twej pracy, wyjąc lub krążąc nad twym czołem.

I będziesz drżał potrącany wiatrem z rozkazu ropuchy, królowej mokradeł, mieszkającej na wieży z sitowia; a pozwolą ci przedtem spisać swój testament — i ty napiszesz epigramat z dwóch linii równoległych jak życie i śmierć, które spotkają się w zmartwychwstaniu, za oknem końca.

Wyjrzyj — daleko.
Pomyśl — wysoko, wysoko.

WYNIK:
Suma wszystkich długości słom na których zawisły kłosy rodzące przez wieki ziarna nie zamknie pojęcia nieskończoności w linii.

LINIA

Linia wysokiego napięcia rozciągnięta na stalowych masztach wstąpiła w mój rodzinny krajobraz i idzie przezeń niosąc potężną pieśń: energię.

Grube druty nisko zwisające nad ziemią jakby wąchały zapach pól, rozkoszując się ich płodami.

W niektórych punktach zbliża się do zagród, nieomal ociera o strzechy —

Spokój jest w sercach ludzi wsi: wierzą w jej dobroć, która nie zawiedzie.

Precyzyjna i inteligentna, łagodna i cierpliwa otwiera oczy na horyzonty dalekie zapadające pod wędrowną stopą.

AMNEZJA

Pamiętam, że zapomniałem pożegnać się we śnie z osobami, które mi się śniły — i wyszedłem.

— Wrota koni szukają — ktoś wołał na dziedzińcu.

Wybiegałem na drogę. To, co zobaczyłem, zatrzasnęło mnie w furtce: z pagórka zjeżdżał kadłub na rowerze.

— To nieszczęśliwy człowiek — zagadnąłem iwę rosnącą przy płocie.

— Ale on o tym nie wie — usłyszałem, lecz to nie był jej głos.

Ukryłem się w krzewach bzu i wywąchałem pieśń. Wypełzłem za nią. Gdzie się śnię? To przecież śpiewano cytaty z moich wierszy. Tego nie mogłem sobie wyobrazić — i przeobraziłem się w konia, którego ojciec wprowadził do sypialni. Tu zacząłem rżeć aż zbudziły się talerze i zaczęły krążyć nad moją głową zapadając w sen powrotny.

ZABIŁ OJCA

Zabił ojca — i podpalił za sobą most drewniany, uciekając przed sobą. Gęsty dym zasłonił zbiega. Tych, którzy go gonili, powstrzymał ogień trawiący most.

Rzeka głęboka przyjmowała jego popioły, niosła je ku morzu, którym popłynął syn zabójca.

Nie posypie tym popiołem głowy, ledwie pochyli czoło gdy dosięgnie dna, albowiem pójdzie na nie — prosząc o przebaczenie.

Rzeko rodzinna, wróć jego łzę do źródła —

Ona popłynie pod prąd, przesączy się przez grunt podskórnym korytarzem — do grobu ojca.

Słona łza oka i morza.

* ★ *

Bóg mnie zawsze pasjonował — był i jest moim powietrzem: a w nim przezroczystą tajemnicą.

Przezeń widzę siebie — dalekiego wędrowca, którego tracąc z oczu, odzyskuje niebo. To, co idzie za nim — za mną, jest cieniem, co nigdy nie zbłądzi i tęsknić nie będzie za powietrzem, w którym pochował swoją miłość. Aby zmartwychwstała. Nie daremnie.

I by słowo, owoc ziemi, spłoniło się, i rozwiązane były wszystkie śluby.

Z NOTESU

Więc jeszcze jedno małżeństwo literackie.

Rozpisała się o tym miejscowa prasa. On prozaik, ona poetka. Po ślubie gdzieś znikneli. Nie widywano ich w kawiarniach ani biesiadach literackich. Niektórzy stęsknili się za nimi. Byli mili, mile widzani.

Lecz oni wyjechali w góry różowe. Nie pisali do nikogo oprócz mnie, samotnika.

Poetka zaszła w ciążę. On kończył swoją pierwszą powieść.

ZEGAR I SERCE

Cykanie zegara ściennego współbrzmi z tętnem mojego serca. Słyszę pracę zegara i tętno czuję. Jakaś niewidoczna nić — przewód łączy te dwa aparaty do pomiaru czasu i życia: że biją jednym rytmem. Stary zegar! Wisi na ścianie, ja siedzę przy pustym stole i piszę opowieść o wieczności.

CZY TO MIASTO

Czy to miasto pokochałeś? Zapytuję przez ramię semafora, który zatrzymał mnie na tej stacji.

W pochmurne dni odprowadzam na dworzec swoją tęsknotę, wykupuję jej bilet ulgowy, lecz na peronie nie możemy się rozstać.

Pociąg odchodzi, tęsknota zostaje ze mną...

PÓŹNY WIECZÓR W MIEŚCIE WŁÓKNIARZY

Przyjechał przed wieczorem. Był czuły. Ułożyli się do łóżka. Próbował zasnąć. Dłoń położył na jej brzuchu.

— To pole mojej działalności — wyszeptał.

— I twój warsztat tkacki.

— Pięknie powiedziałeś.

— Najukochańszy mój mężu, śpij.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

ZAPISY DELFICKIE

1

Dokąd wspinamy się Świętą Drogą,
jeśli wiara w ruinie
i środek świata gdzieś się zapodział?

Wchodzimy myśląc o tych ostatnich,
co zstępowali stąd w dół, do Rzymu,
o kapłanie i Pytii,
gdy już zabrakło wiernych.
(W tym samym mniej więcej czasie
bogowie ich bardziej opuścili
niż ludzie.)

Jakże tragicznie samotni byli
wśród tych, którzy nie mieli siły
wyjść z miast, wziąć kij pielgrzymi,
iść do dalekich źródeł
i powierzyć swe myśli i troski
w góry ugru,
mirt, laur i posągi
zdobionej niecości.

2

Jakże wysoka jest cena niezależności:
wiedzieć o każdym,
czytać jego przyszłość bez przyszłości
i zamilczeć.

Stąd Aleksander odszedł bez odpowiedzi.
No cóż, wielkim Teraz
nie można mówić prawdy tego, co Zawsze.

Jakże wysoka jest cena niezależności:
znać człowieka , a weń nie wchodzić,
by nie zarazić się jego duszą,
mówić w niego tak,
by nie zapytał się o ciebie.

Jakże wysoka jest cena niezależności:
wyrzec się współczucia,
zatracenia w nienawiści i miłości,
zapomnieć o dzieciach i ojczyźnie,
to znaczy być tunelem,
którym osobowe pociągi,
wiecznie pospieszne,
przejeżdżają,
tunelem głębokim a pustym?

W końcu i ciebie, Delfy,
odczytają:
„nie zdradzić swych myśli,
to zdradzić siebie".

I dla ciebie jest wyrocznia
— nie w piekle, w innych.

3

Tej ciszy świętej,
tych odgrzebanych rumowisk,
siła niewymowna,
gdy ma się pod wieczór
i liliowieje dolina oliwna.

Poza czasem, poza historią
szmer źródła Kastalii
i rzężenie cykad
— też cisza.

Na uboczu
(niech nikt nie słyszy)
nie wiem, komu się modlę,
słowa najdalsze mimowolnie
wymraczam, to zamraczam,
ale modlę się żarliwie,
modlę coraz wyżej.

1977

EWA FILIPCZUK

★ ☆ ★

może lepiej nie wierzyć w istnienie
samobójczych lęków i skrobanek
gdy kobieta w dzieciach się starzeje
gdy kochanek odchodzi nad ranem

zielenieją zieleniały na szczęście
nad rozbitym kolanem do łez
czasy które czas by zapomnieć nareszcie
z czarno-białym pocałunków sensem

może lepiej zamiast proszków na sen
uspokajać się wierszami z morałem
czytać w łóżku filozofów na zapas
zmieniać mężczyzn i drogi raz po raz

i nie wierzyć nie uwierzyć w nic
bo na przekór przez pomyłkę życie było
bez odwagi bez przeszłości aby skryć
sen zaczęty płód poczęty próżną miłość

★ ☆ ★

wasal u twoich nóg schylony
ofiarna gdy się słowem stajesz
przewodnia chociaż gorzka sławo

która nie kryjesz swych tajemnic
o pani odsłoń się przede mną
wasalem u nóg twych schylonym

nie chcę poezji pragnę kobiet
białego gardła ciszy powiek
reszta jest tylko krwią i solą

gorzka i zbuntowana w lokach
na tronie albo poniżona
naga w przewrotnym blasku sukni

o pani która mnie nawiedzasz
poezjo gdy się stajesz ciałem
ja wasal u nóg twych dojrzewam

KARNAWAŁ

Karnawał
Tak do umierania
Podobny
Andrzej Bursa

To święto nigdy nie wybiera dnia
Może być piątek Jedzie karawanem
Konie w czaprakach Dziewice na koźle

Kim był ubrany jak na kiepski bal
tańczący teraz w mroku na wybojach
z kwiatami ale bez goździka w klapie
z błazeńską miną ale już w zaświatach

Dziewice z kozła zastukały w okno
ich danser leży zmęczony na śmierć
W mroźnym powietrzu widać że miał duszę

Karnawał nigdy nie wybiera pory
Może być piątek środek nocy mróz

Kim był ten który otwiera korowód
bliskich do tańca ruszających w drogę
Zdążył uwierzyć czy zapomniał słów

OKIEM PRZECHODNIA

Ta wystawa nosi tytuł „Łódzkie Przemiany — Łódź lat siedemdziesiątych". Ale dałoby się znaleźć wiele jeszcze tytułów, rzecz dotyczy bowiem wspólnego dzieła bliskiego sercu wszystkich łodzian: sumy robotniczych zobowiązań, młodzieżowych patronatów, czynów podejmowanych dla uczczenia ważnych w życiu kraju wydarzeń i codziennej pracy, czasem nawet niemałego trudu. Czym jest to miasto? Na tak postawione pytanie nie jest łatwo odpowiedzieć, choć z pewnością kilka elementów powtórzyłoby się: że Łódź jest dużym miastem o bogatej tradycji ruchów robotniczych, „stolica włókiennictwa", dawniej szarym i zaniedbanym a dziś gwałtownie zmieniającym się.

Wybór Łodzi jako tematu fotograficznej wystawy sugeruje, że obiektyw niejako „za nas" odbędzie penetrację nieznanych fragmentów miejskiej przestrzeni. Ale współczesne wielkie miasto jest również skomplikowanym organizmem gospodarczym i ekonomicznym. Dla mieszkańców jest także środowiskiem życia — ekologicznym i społecznym miejscem pracy, mieszkania i wypoczynku. Przemiany tego środowiska (wszystkie dynamiczne procesy modernizacji i adaptacji) nie zależą wyłącznie od przeobrażeń architektonicznych ale są połączone ściśle ze zmieniającą się strukturą społeczeństwa, jego aspiracji i systemów wartości.

Muzealna wystawa może być jedynie obrazowym ekwiwalentem złożonego procesu przeobrażeń miasta. Ale tym bardziej ma szansę przybliżenia wielu zjawisk, złączenia przewodnim motywem rozgrywających się jednocześnie — w latach siedemdziesiątych — ważnych dla najnowszej historii Łodzi zdarzeń.

Ekspozycja w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, zbudowana na scenariuszu Krzysztofa Pogorzelca składa się z fotogramów Andrzeja Wacha, fotoreportera „Dziennika Popularnego". Twórca taki jak Wach z tytułu zawodu ma okazję być uważnym obserwatorem łódzkich przemian. Otwiera swoją wystawę sugestywnym zdjęciem odchodzącego w przeszłość miasta robotniczych „famuł": kończy natomiast reporterska migawka z niedawnej wizyty Tow. Edwarda Gierka, oprowadzanego przez gospodarzy Łodzi po Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Widzowie mogą odnaleźć wśród kilkudziesięciu fotogramów znane motywy, które obiektyw odkrywa jakby na nowo: budującego się Centrum przy Głównej, elewacje nowych fabryk Teofilowa i Dąbrowy. Czasem aparat zagląda do fabrycznych hal, w których najnowocześniejsze maszyny wystukują nowy rytm życia miasta. Zatrzymane w kadrze obrazy pracy mieszają się z chwytanymi „na gorąco" portretami łodzian odpoczywających w parkach czy paradujących z dziećmi na spacerze w wolną sobotę. Andrzej Wach stara się unikać specjalnych zabiegów; jego relacja ma charakter reportażu, w którym fotografowane motywy bronią się własną urodą.

Ta wystawa przybliża w sposób oczywisty znaczenie pojęcia spotykanego w tytułach gazet, na oficjalnych wystąpieniach czy poselskich spotkaniach: „Program Rozwoju i Modernizacji Łodzi". Oglądając ją mamy okazję uświadomić sobie nie tylko s k a l e przemian, ale także j a k o ś ć — co pozwala zarejestrować w reporterskiej wędrówce uśmiechnięte twarze ludzi, którym w tym mieście żyje się lepiej.

Wystawa „Łódzkie Przemiany" — najlepsza z oglądanych dotychczas podobnych ekspozycji — cieszy się sporym powodzeniem. I nie ma w tym chyba nic dziwnego.

ANDRZEJ MAJER

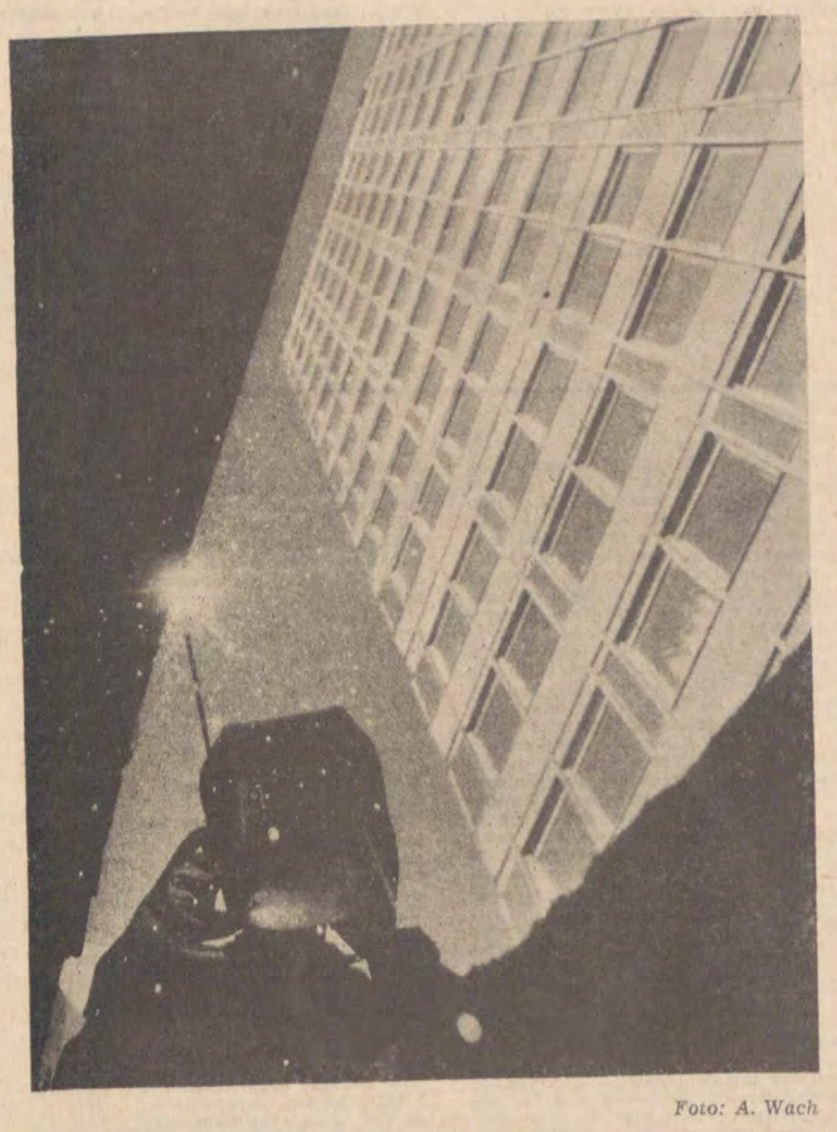

Foto: A. Wach

PASJE GRZEGORZA KRÓLIKIEWICZA

Grzegorz Królikiewicz przyzwyczaił kinową i telewizyjną publiczność do tego, że oczekiwanie na jego nowe dzieło łączy się z przewidywaniem czegoś, co stanie się wydarzeniem artystycznym. Za każdym niemal razem, bez względu na to, czy jest to oczekiwanie na Fausta czy Topornego, przewidzieć można, że mieć będziemy do czynienia z czymś niebanalnym, odbiegającym od zastanej tradycji, z czymś nie poddającym się jakiemukolwiek prognozowaniu. Grzegorz Królikiewicz należy bowiem do tej kategorii artystów, których działalność twórczą określa w pierwszym rzędzie imperatyw poszukiwań estetycznych. Mogłoby to sugerować, że cechą główną jego twórczości jest swoisty eskapizm formalny. Pierwszy ogląd jego dzieł wrażenie to podtrzymuje zastanawiają jednak przy tym wybory tematów, postaci, problemów. Przełamują one pierwszą sugestię czystej gry formalnej, zbyt wiele w niej intelektualnej myśli, społecznej obserwacji, moralnego ładunku. Kolejną prawdą jest to, iż Królikiewicz — interpretatora problemów i postaw ludzkich, tych zamkniętych już wcześniej w dziełach sztuki oraz tych wybranych z historii dawnej i ze współczesności, charakteryzuje głęboki subiektywizm. Artysta ma jednakże do niego prawo szczególne, które ujawnienia swe znajduje w takich a nie innych przekazach formalnych. Zarzut niekomunikatywności, pojawiający się zwłaszcza przy filmowych realizacjach Królikiewicza, odrzucić należy tak samo jak odrzucono go dawno w dyskusjach o współczesnej plastyce, muzyce, a także literaturze. Królikiewicz z pełną konsekwencją realizuje proste prawo, także sztuki kina do tego, by być po prostu trudną, może nawet elitarną, gdyż doświadczenie wieku XX określeniu temu przydało zupełnie niepejoratywne znaczenie.

Tych kilka wstępnych uwag zaświadcza, iż tzw. prawd o twórczości Grzegorza Królikiewicza jest wiele, każdej z nich można bronić i każdą można zwalczać z pasją. Zostawmy im jednak prawo egzystencji, bez twórczości tego reżysera polskie kino i polska telewizja byłyby dużo uboższe, a potoków przeciętności i banału jest w nich tak wiele, że cud istny, iż pozwalają jeszcze istnieć temu, co indywidualne i nie poddające się tak powszechnie cenionemu stereotypowi.

Najnowszy film Grzegorza Królikiewicza „TAŃCZĄCY JASTRZĄB", zrealizowany według powieści JULIANA KAWALCA, wzbudza kontrowersje znamienne dla dotychczasowych reakcji na twórczość tego reżysera. Dzieje się tak dlatego, że w tzw. poszukiwaniu formy poszedł tu Królikiewicz jeszcze dalej niż w swych filmach poprzednich, dalej niż w pierwszej, telewizyjnej inscenizacji tego tematu. To „dalej" dotyczy w głównej mierze zanegowania narracyjnych przyzwyczajeń filmowego odbiorcy i podporządkowania jego percepcji nowym regułom przedstawieniowym, w których stara zasada pars pro toto zdaje się pełnić funkcję nadrzędną.

Trudno tu przeniknąć motywacje autora, próba ich rozszyfrowania, poza względami natury estetycznej, każe sądzić, że przełamania bariery niekomunikatywności miał on prawa dopatrywać się w dwóch źródłach. Pierwsze z nich, na które reżyser dzieła tak bardzo autonomicznego oburzyć się jednak nie może, tkwi w dość szerokiej znajomości pierwowzoru (powieść Kawalca należy do podstawowego kanonu lektur szkolnych), drugie źródło ma charakter znacznie bardziej uniwersalny. Jest nim społeczna świadomość.

Dzieje Michała Topornego są wątkiem współczesności, w której żyją czytelnicy powieści Kawalca i widzowie filmu Królikiewicza. Opowiedzieć je można było inaczej niż uczynił to Królikiewicz, w sposób bliższy Kawalcowi, choć i on nie jest wierny, realistycznie unaoczniającym społeczną czy obyczajową rzeczywistość. Grzegorz Królikiewicz odwołał się jednak w tym filmie zarówno do historycznej i społecznej świadomości odbiorcy, jak i do jego świadomości kulturowej. Przemawia doń bowiem archetypami i symbolami. Relacjonuje świat obiektywnej rzeczywistości poprzez wybory jej elementów znaczących. Intensyfikuje je dodatkowo poprzez szczególne układy montażowe i kompozycje kadru, walory znaczeniowe i emocjonalne świata dźwięków i muzyki, często także poprzez deformujące realistyczną fizyczność człowieka i jego otoczenia obrazy. Nie odbieram efektów tych postępowań jako czczej gry formalnej, przytłaczającej ideę dzieła.

Dramat człowieka, który płaci wielką cenę za drogę, którą przebył, nie traci w tym sposobie jego prezentacji nic z atmosfery tragizmu. Wypreparowany, także poprzez formę jego ujawnienia, z najnowszej historii społecznej jest znakiem losu jednostkowego, jednak nie odosobnionego. Rodowód i dzieje Michała Topornego stopione są z dziejami pokolenia i wtopione w historyczne przeobrażenia kraju. I te konteksty w filmie Królikiewicza, ukazywane poprzez wybory sytuacji symbolicznych, w których zamknięte jest kilkadziesiąt lat życia jednostkowego i zbiorowego, są wystarczająco wyraziste. Układają się w swej mozaikowości w obraz tyle samo złożony co rozpoznawalny. W mozaikowości tej intelektualizm tkwiący u źródła rozbicia rzeczywistości na owe znaki-symbole, pełni w konsekwencji również funkcję spajającą. Owej intelektualnej postawy wymaga też autor od odbiorcy swego dzieła, co wcale nie znaczy, iż chłód jest cechą „Tańczącego jastrzębia". Emocjonalną temperaturę tego filmu wyznacza pasja jego twórcy, która piętnując tzw. wysoką estetycznością dzieło, nie może zostawić odbiorcy obojętnym w akcie jego przeżywania.

EWA NURCZYŃSKA

KOSTKA DO GRY W LITERATURĘ

Teoretyczne określenie fikcji literackiej — z którego wynika, że jest ona nie tylko tworem wymyślonym przez autora, ale i nie daje się zweryfikować z rzeczywistością wobec dzieła zewnętrzną — znajduje całkowite i niemalże kanoniczne potwierdzenie w pisarstwie Piotra Wojciechowskiego.

Świat przedstawiony jego powieści jest przedziwnym konglomeratem współczesności międzywojnia oraz la belle époque, a chyba nawet i wcześniejszych okresów historycznych. Jest to — mówiąc żartobliwie i zapożyczając w innej funkcji tytuł interesującego cyklu telewizyjnego — świat, który nie może zginąć. Świat, którego podstawa trwania jest przymierze z czasem — „łaska wzajemnej zgody między zacieraniem się wspomnień wymieraniem świadków, kruszeniem się papieru i kamienia". Owo niecodzienne w naszej literaturze pomieszanie czasów staje się przedmiotem teoretycznych rozważań filozoficznie nastawionych bohaterów „Wysokich pokojów": pojawia się koncepcje kulistości czasu, wyłania się czwarty wymiar czyli rozlupania einsteinowskiego problemu równoczesności na równoczesność południkową oraz równoleżnikową, powołania do życia stołecznego laboratorium pomiaru czasu itd. A wszystko po to, by stworzyć fantastyczne podwaliny takiego a nie innego wykorzystania kategorii czasu w tej prozie.

Krytycy twierdzą nawet, że Wojciechowski stworzył swoistą odmianę powieści historycznej: pomieszanie czasów i wydarzeń, z których każde obok cech prawdopodobieństwa posiada znamiona fantastyczności, sugerować ma, iż historia to nic innego, jak subiektywne, emocjonalne odczucia jednostki. Odczucia z trudem pozwalające się uporządkować, pietrzone i mnożące się w kolejnych książkach autora „Kamiennych oszczół" stanowią coś, co „można sypać bezpiecznie do rozpędzonego młyna mózgu" — jak napisał na samym początku najgłośniejszej swej książki pod epatującym tytułem „Czaszka w czaszce". Najbardziej trwałym, acz równie, co inne, niedoskonałym, ich wyrazem jest — według Wojciechowskiego — literatura, sztuka, dlatego tak dużo w jego utworach autotematyzmów.

Jest w „Czaszka w czaszce" scena, w której narrator nie może rozłączyć splecionych ze sobą dwóch hufnali, choć wydaje mu się to dziecinnie proste. Dopiero jego kolega sztabowy Seńka, pokazuje, jak się to robi. Ta epizodyczna scena jest jednak bardzo znamienna, wywołuje bowiem w narratorze refleksję o prostocie sposobów na miłość i życie, zaś w czytelniku — myśl o prostocie sposobów na literaturę, która jest światem, jakiego „nie było i nie ma", jest „tworzeniem niemieszkalnych przestrzeni, otwieraniem pustyń, słabością i buntem" hipotetyczną konstrukcją rozstrzygnięć natychmiastowych, zarazem zaś zjawiskiem, do którego trzeba mieć zdecydowany dystans.

Karol Este, najtęższy intelektualista w gronie bohaterów Wojciechowskiego, połączenie Witkacego i Chwistka, Wilde'a i Russela, tak definiuje literaturę i jej funkcję: „To wypocina, produkt uboczny i przypadkowy w procesach zdobywania żarcia i partnerów do parzenia się. Ze struktury mózgu wynika, że osobnik działa sprawnie w środowisku, które rozumie, chodzi tu po prostu o redukcję ilości elementów, które brane są pod uwagę. Stąd tendencja do porządkowania, do uproszczeń, do tworzenia mitów..." Właśnie uproszczenia i mity — to przemienne strony kostki do gry w literaturę, do uprawiania tej zabawy intelektualnej, która może, podobnie jak i inne gry z udziałem kostek, rozwijać czytelniczą wyobraźnię, uczyć i odprężać jednocześnie. W każdym razie w wykonaniu Wojciechowskiego.

Jego najnowsza powieść „Wysokie pokoje" potwierdza tezę, w myśl której wszystko tak się już „pobełtało", że tylko „sadząc paradoksy można powiedzieć coś rozsądnego". Jest więc paradoksów w świecie przedstawionym „Wysokich pokojów" co niemiara, niekiedy zresztą bardzo dowcipnych, jak na przykład wynalazek antyszampana. Ich dobra ilustracja mogą być z powodzeniem tytuły kolejnych przywoływanych w tekście „odkrywczych" prac Estego: „Etyka ryb", „Nuda ptic" „Architektura chmur" czy „Fichte i Nietsche — jedna siwa". Świat widziany przez pryzmat paradoksów okazuje się bardziej przejrzysty. Pierwsza tego konsekwencja musi być tworzenie atrakcyjnych mitów. Taki podstawowy system interpretacji całościowej w „Wysokich pokojach" — i wcale przecież nie odkrywczy, boć intelekt gra jest tu tylko — to przekonanie, iż świat, wbrew zbrojeniom, kłamstwom polityków i kleskom głodu, wcale nie jest zły, a ludzie, mimo cywilizacyjnych, kulturowych i politycznych różnic, dąży do zjednoczenia i połączenia ludzkości w „coś pełnego uroku i sensu". Stąd tak dużo „urokliwych" scen w powieściach Wojciechowskiego, scenek-bibelotów, opiewających prawdziwe i wydumane dzieła sztuki i architektury, ukoronowaniem których staje się w „Wysokich pokojach" Wenecja — miasto stopniowo zamieniające kościoły w teatry, teatry w domy schadzek, co w końcu doprowadziło do przemiany w luksusowy „zamtuz Europy". Podobnie następuje dziś degeneracja sztuki — coraz większa w miarę rozwoju umiejętności, powiedzmy, produkcji opakowań. Im gorsza tandeta staje się produktem finalnym — tym wymyślniejsze kryją ją opakowania. Taki jest sens wykładu doktora Yvvy, przestrzegającego przed ową zgubną dysproporcją, jednym z objawów niebezpiecznego schorzenia współczesnej cywilizacji: przewagi formy nad treścią.

Paradoksem pisarstwa Wojciechowskiego staje się to, że ukazując całe rozbicie świata geograficzne i politycznego, jak również dekompozycję struktur i wzorów osobowości, zwłaszcza w sztuce, zmierza właśnie do uporządkowania świata, wykazania humanistycznej jedności celów i dążeń. Poprzez pozorny chaos narracji, daleko posunięta symbolikę, częste aluzje do dorobku kultury ukazuje rozmaitość postaci oraz zróżnicowanie motywacji ich działań służące nade wszystko realizacji nazwanego powyżej starego mitu. Najdobitniej ujawniają to przemyślenia Tymoteusza Boyko-Okularnika, gdy przebywa w wysokich pokojach hotelu „Grand Excelsior".

Krytycy dość zgodnym chórem orzekli: groteska, parodia, pastisz, zabawa literacka. Sam przed chwilą powiedziałem: gra w literaturę. Ale czy tylko? Prawda, że Wojciechowski pisze, jakby był rówieśnikiem Andrzeja Kuśniewicza i wspólnie z nim był świadkiem ostatnich chwil mnorachii austro-węgierskiej, jakby zdążył przesiąknąć autentycznym galicyjskim klimatem. A przecież urodził się w roku „Anschlussu" i atmosfera międzynarodowego konglomeratu dawnej Galicji, styku narodowości i kultur, obyczajów, sposobów życia i myślenia jest dlań tylko źródłem mitologii i wypłowiałym nieco kostiumem mistyfikacji. Mistyfikacji dokonywanej na oczach czytelnika, obfitującej we wspomnienia, pseudorodzinne plotki, towarzyskie drobiazgi. Wykorzystane, niepotrzebne już narratorowi i jego przyjaciołom, trafia pewnie do „Muzeum Śmiecia", z taką pieczołowitością tworzonego w powieści przez wuja Eryka.

Skoro pojawia się muzeum — widomy to znak przemijania. Czyżby sygnalizowane wcześniej teoretyczno-fantastyczne eksperymenty z czasem niezupełnie się powiodły? Niestety, czasu nikt i nic nie pokona, nawet literatura. Bo przecież jest ona w gruncie rzeczy tylko „filozoficznym opakowaniem" dodanym do życia, które po prostu jest.

„Wysokie pokoje" wkrótce po ukazaniu się wyróżnione zostały nagrodą „Kultury". I w pełni na nią zasłużyły, aczkolwiek powielają niektóre chwyty, znane z wcześniejszych powieści Wojciechowskiego. Trudno zdecydować rozstrzygnąć, czy jest to jedynie artystyczna konsekwencja, czy przyzwyczajenie do wygodniej, bo sprawdzonej już poetyki. Jedno wszak można powiedzieć ponad wszelką wątpliwość: „Wysokim pokojom" to nie zaszkodziło. Ale jak będzie z następną powieścią?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

P. Wojciechowski, Wysokie pokoje, PIW, Warszawa 1976, nakład 10.000+290 egz., cena zł 40,—

„JASEŁKA"... PO SEZONIE

Kiedy w grudniu ubiegłego roku rozmawiałem z **Krzysztofem Galantem**, założyciel i szef **Kameralnego Zespołu Muzyki i Poezji Dawnej** powiedział już na koniec rozmowy:

— Nie możemy odżałować „Jasełek". Miały być one pierwszym programem łódzkiej Opery Kameralnej, ale nie doszło do jej powstania. Potem mieliśmy nakręcić film... I to się nie udało. W końcu postanowiliśmy zrobić program estradowy...

Już wówczas trwały próby nad tym programem, toteż zdziwiłem się nieco, gdy dopiero w końcu stycznia dotarło do mnie zaproszenie na koncert „Jasełka staropolskie". Kto zechce słuchać kolęd i pastorałek w karnawale?

Ale dla licznie zgromadzonych 31 stycznia w XIX-wiecznej sali odczytowej Muzeum Sztuki miłośników muzyki i poezji pytanie to nie było ważne, kolęd — okazało się — można słuchać i po Trzech Królach. Utwory te związane są co prawda z okresem Godów, ale nie tak ściśle, iżby w słuchaniu ich poza tradycyjną porą było coś niestosownego; są one bowiem żywe i bez okolicznościowego, świątecznego kontekstu.

Nie były więc „Jasełka" „musztardą po obiedzie". Ich premiera odbyła się zresztą wcześniej, tyle że w Ostrołęce. Przyczyną opóźnienia łódzkiej premiery był bardzo napięty styczniowy kalendarzyk imprez Towarzystwa Przyjaciół Muzemu Sztuki. Bo muzyczne instytucje Łodzi okazję przespały.

Kilka słów o samym Zespole, gdyż wciąż mam wrażenie, że jego ciekawa, nietuzinkowa działalność przebiega jakby na marginesie (całkiem niezasłużenie!) łódzkiego życia muzycznego, a grupa — najczęściej koncertująca poza Łodzią — w niej samej znana jest tylko wąskiemu kręgowi melomanów.

A niesłusznie! Rzadki to bowiem przypadek tak artystycznie konsekwentnych i oryginalnych poczynań, o jakich można mówić obserwując od trzech prawie lat rozwój Zespołu Muzyki i Poezji Dawnej Filharmonii Łódzkiej.

Właściwie wszystko zaczęło się od pasji jednego człowieka, pasji której na imię: lutnictwo. Od szeregu lat K. Galant, dziś absolwent klasy gitary łódzkiej PWSM, wskrzesza stare, odnalezione na strychach i w workach na złom instrumenty (tak było z francuskim kwintonem i renesansową lutnią) i buduje — w oparciu o często jedynie ikonograficzne wzory-kopie. Bo na oryginalne instrumenty nikogo w Zespole nie stać. Dyrektorzy filharmonii i muzeów z reguły zazdrośnie kryją swoje zbiory, niechętnie wypożyczają je nawet tylko do skopiowania. Pozostaje więc cierpliwie szukać i budować samemu... Następne etapy narodzin Zespołu, to również takie zaczynanie od zera, a zarazem — ciągła przygoda.

Bo instrumenty to dopiero początek. Strój dla nich można znaleźć tylko w starych tabulaturach. Efektem poszukiwań muzyków w bibliotekach uniwersyteckich, klasztornych i zamkowych jest szereg zabytkowych tabulatur,, m. in. jedyne w Europie egzemplarze tabulatur: włoskiej z 1574 roku i niemieckiej, o pół wieku późniejszej. Kilka anonimowych tabulatur znaleźli również członkowie Zespołu w podłódzkim, barokowym klasztorze w Łagiewnikach, gdzie — o czym mało kto wie — istniały niegdyś stałe kapele muzyków.

Ale posiadanie tabulatur, to też jeszcze za mało. Trzeba umieć je czytać i transkrybować na współczesny zapis nutowy. Każda transkrypcja to zaś nie lada łamigłówka: w okresie renesansu i baroku używano w Europie aż siedmiu strojów, a każda tabulatura stanowiła precyzyjny przekaz wykonawczy dla świetnie przygotowanych muzyków. Wszystko to stawia przed jednym z niewielu w Polsce zespołów, których intencją jest wykonywanie muzyki „tak jak grywano ją przed wiekami" spore trudności wykonawcze i interpretacyjne.

Ale Zespół nie poprzestaje tylko na wiernym z tabulaturowym zapisem muzykowaniu. Chce być wierny epoce i w innych realiach, dlatego dąży do odtworzenia w czasie swych koncertów historycznych i naturalnych warunków.

Bo też członkowie grupy stylizują się z jednej strony na nadworne kapele, z drugiej zaś — na wędrujących, jak to drzewiej bywało, od zamku do zamku, od klasztoru do klasztoru minstreli i wagantów, niosących ludziom muzykę, wieści ze świata, facecje, poezję i plotkę... Do ożywiania skostniałych muzealnych przedstawień sztuki dawnej Zespół wprzęga obok muzyki — słowo, kostiumy, taniec.. Oczywiście, nie chodzi tu o aptekarstwo wyważoną „czystość stylistyczną", celem Zespołu jest stworzenie iluzji i rzetelna propaganda zapomnianych wartości tkwiących w dawnych epokach, choć w repertuarze Zespołu znajdują się również programy jednolite w stylu (renesans włoski i polski, barok włoski i polski, barok niemiecki, a w planach dzieła muzyka-poety Adama Jarzębskiego).

Dlatego najchętniej Zespół występuje w zabytkowych wnętrzach (ale także dodajmy w filmach historycznych i oświatowych w radio i telewizji). Ważna jest atmosfera, brzmienie instrumentów i scenerią, w oparciu o które Krzysztof Galant i jego koledzy budują swoje pełne ruchu i wdzięku widowiska.

O świadomym przemieszaniu stylów można mówić na przykład w wypadku „Jasełek staropolskich": Wnętrza byłego pałacu Poznańskich przy ul. Więckowskiego mają przecież „tylko" pseudorenesansowy wystrój. Koncert zaś poprzedziła prezentacja gotyckiego obrazu (anonim, szkoła śląska, XV wiek) przez dr Teresę Kmiecińską-Kaczmarek. Właśnie na tle gotyckiej „Adoracji dzieciątka" rozbrzmiewała renesansowa i barokowa muzyka. Melodie i słowa pastorałek wybrano z XV—XVII-wiecznych kantyczek, a poetyckim łącznikiem, który nadał koncertowi formę tryptyku, był poemat kolędowy z 1632 roku zatytułowany „Kolebka Jezusowa", pióra Kaspra Twardowskiego. W programie podkreśliłbym wszechstronność młodego Zespołu i wysoką kulturę muzyczną, z jaką zinterpretowano dawne teksty i muzykę, rozpisując je na głosy instrumentów i ludzi. Solowe partie wokalne należały do Jolanty Hołodok (mezzosopran) i Michała Drosia (również recytatora). Partie kwintonu wykonywała Dorota Jabłkiewicz, klawicyterium i fletu — Grażyna Malec. Kierownik i przywódca duchowy grupy Krzysztof Galant grał na violi da gamba i lutni.

„Jasełka staropolskie" uzupełnią listę osiągnięć tego „muzycznego wehikułu czasu"... Młodym muzykom wypada przy okazji życzyć dalszych równie udanych podróży w świat baroku i renesansu, a muzycznym instytucjom Łodzi — większej uwagi dla niebanalnych poczynań Kameralnego Zespołu Muzyki i Poezji Dawnej.

T.S.

TOMASZ SOLDENHOFF

ZAKRĘT

W naszych czasach częściej niż kiedykolwiek zdarza się reporterom łapać przeszłość za rękaw: jakby w pół kroku, na chwilę przed jej odejściem. Mają oni zawsze w zanadrzu na tę okoliczność kilka patetycznych określeń — wytrychów, wedle których oboje: przeszłość wraz z uczepionym jej kurczowo reporterem, mieliby oto właśnie znajdować się „na zakręcie historii", albo „na styku starego z nowym". Tam, gdzie budują nowy odcinek trasy E—16, między Łodzią a Rzgowem, w miejscu, które już nie jest Rzgowem, a jeszcze nie Łodzią, znalazłem mój „zakręt historii".

Zaczęło się od ogłoszenia w gazecie: „W związku z budową drogi E—16 Łódź—Piotrków, której odcinek przebiegać będzie przez teren cmentarza ewangelickiego położonego w Starowej Górze — wzywa się zainteresowane osoby, aby w terminie do dnia 6 listopada 1977 roku zgłaszały swoje zastrzeżenia i żądania, związane z likwidacją cmentarza...".

W parę dni później pojechałem do Starowej Góry. Pasmo piachu — pod nową nitkę drogi — miało już wieś i dochodziło do miejsca, w którym powinno przekroczyć istniejące pasmo i przebić się przez cmentarz. Ten leży bowiem po przeciwnej — jadąc w kierunku Rzgowa — stronie.

— Tu dawniej był niemiecki cmentarz, a obok nauczycielska ziemia — niewiele naprzód posuwa moją wiedzę informacja jakiegoś woźnicy.

— Ja nic nie wiem, mieszkam tu dopiero 20 lat — przyznaje kobieta z domu przy ul. Szerokiej, przekrzykując jazgot psów, które na mój widok rozbijają sobie z wściekłości nosy o metalową siatkę. Ojciec tej kobiety wyprowadza mnie kawałek w pole i szerokim ruchem ręki — ponad zorana ziemią i pasącymi się krowami — pokazuje dach domu, w którym mieszka Feliks Redzynia:

— On tu był przed wojną, będzie wiedział więcej.

* * *

Na planie Starowej Góry z 1882 roku cmentarz oznaczono beżowym prostokątem. Wschodnim bokiem przylegał jak i dziś, do rzgowskiej drogi, zachodnim do parceli będącej własnością „ziejskoj szkoły". Słowem, woźnica mówił prawdę.

W rejestrze właścicieli ziemskich wiele nazwisk niemieckich. Mieszkali tu zatem już przed prawie stu laty.

Ale kiedy przybyli? Starowa Góra jest wsią dość młodą, nie ma jej nazwy w źródłach do końca XVIII wieku. Wiadomo, że w 1823 roku przebywało w Królestwie Polskim 128 tys. imigrantów-ewangelików. Lecz do Starowej Góry nadciągnęli chyba później. Może na przełomie lat 20 i 30-tych XIX stulecia, kiedy na wieść o przyznaniu Łodzi i okolicznym miastom praw osad fabrycznych, tereny te zalała wielka fala ludności niemieckiej? W każdym razie w połowie XIX wieku mogli być tu już Niemcy. Do takiego przypuszczenia skłania mnie proste porównanie: w 1817 roku Niemcy stanowili ponad połowę ludności w niedalekich przecież wsiach Stoki i Sikawa. Struktura wyznaniowa i narodowościowa dawnego województwa łódzkiego nie jest wciąż dobrze zbadana. Pewne jest, że w 1934 roku dawny powiat łódzki zamieszkiwało 185 tys. ludzi, z czego 18 procent stanowili Niemcy. Ale na wsiach żyło tylko 16 procent wszystkich Niemców.

W Starowej Górze od dawna mieszkają Jan i Feliks Redzynia. Opowiedzieli mi o swojej wsi.

Jan: — Niemieccy koloniści dostali tu ziemię sto lat temu. Nie była urodzajna, fakt, ale wiodło im się dobrze. Gospodarstwa mieli duże, zamożne. Uprawiali głównie rzepak i buraki, a ponieważ miasto blisko — opłacało się trzymać krowy na mleko. Z tej wsi jeden Niemiec, Hengstler, to był nawet wójtem w Rzgowie. Połowa z nich nigdy nie nauczyła się polskiego. Mieli swoją szkołę, w jednym budynku z kaplicą, a nauczyciel jednocześnie był pastorem. Wśród Niemców — ewangelicy i baptyści, którym nie wolno jeść mięsa, palić ani pić. Starzy zakradali się do mnie na jednego po cichu, od tyłu, gdyż miałem przed wojną zakład.

Feliks: — Z tymi Niemcami do Hitlera żyli my jak bracia, jak jakaś rodzina.

Zdaniem Feliksa, który był przez jakiś czas sołtysem, krótko po wyzwoleniu pochowano na ewangelickim cmentarzu tylko trzech ludzi. Potem już nikogo.

6 listopada 1977 roku był ostatnim dniem, w którym „zainteresowane osoby" mogły zgłaszać swoje zastrzeżenia w sprawie cmentarza. Pytałem w kancelarii Parafii Ewangelicko-Augsburskiej. Nie zgłosił się nikt.

Ludzkie prawa do cmentarza wygasły. Gwałtownie acz z zachowaniem należnych temu miejscu konwencji, zbliżyła się przyszłość, której uosobieniem (i symbolem) stało się pracowite ramię koparki. Koniec ten nie wróżył nawet archeologicznych sensacji: nie błysnął pod łyżką maszyny żaden skarb.

Kiedy 9 stycznia 1978 roku po raz ostatni pojechałem do Starowej Góry, z nasypu utworzonego przez glinę wyłaniał się już zarys nowego pasma trasy E—16.

Jedynymi żyjącymi tu dziś świadkami okupacyjnych losów wsi są Jan i Feliks Redzynia. Ich losy są zarazem żywym ogniwem, łączącym przeszłość z teraźniejszością Starowej Góry. Dzięki temu reporterska opowieść o „zakręcie" zyska może głębszą historyczną perspektywę.

* * *

Kiedy na wiosnę 1939 roku NSDAP zaczęło intensywnie werbować sobie ziomków do oddziału terenowego „Polen", w Starowej Górze też zwoływali się już przyszli konfidenci gestapo. Najpierw tajne zebrania, a po każdym dwóch — trzech Niemców przekradało się do swoich przez „zieloną granicę". Wrócili we wrześniu 1939 roku.

— Co niedziela — wspomina Redzynia — wychodzili w hitlerowskich mundurach, z bębnami, sztandarami, na cmentarz wojenny w Rzgowie z 1915 roku. Na cmentarzu przemawiał agent...

— Straszne orgie wyprawiali. Krzyże, kaplice polskie rujnowali, — dodaje p. Helena, gospodyni Redzyniów.

O tych zebraniach i marszach donosił Redzyni niemiecki nauczyciel, człek zaprzyjaźniony z Janem, sprzyjał ponoć i później Polakom. Redzynia miał kontakty z komendami w Łodzi i Rzgowie, powiadamiał policję.

Ci sami Niemcy, którzy przed wojną żyli z Polakami w Starowej Górze „jak jakaś rodzina", w wojnę wsadzili Feliksa Redzynię do więzienia za to, że nie oddał broni, starych Redzyniów natomiast — wysiedlili, zabierając ziemię i gospodarstwo i dzieląc je pomiędzy sobą.

Nie lepszy los spotkał Jana Redzynię, gdy w maju 1940 wrócił do domu. Jak wszyscy bracia, tak i Jan poszedł w 39 na front. Brał udział w obronie Warszawy. W Puszczy Kampinoskiej jego oddział robił zasadzki na Niemców. Okrążony dostał się do niewoli.

Redzynia uciekł stamtąd po trzech dniach. Po jego powrocie Niemcy zrobili aż trzy zebrania na temat, co dalej z nim począć. Z wieloma przecież przed wojną przyjaźnił się, bywał na weselach, chrzcinach...

— Obeszli się ze mną dość łagodnie... — stwierdza dziś. — Zabrali po prostu sklep i wysiedlili mnie. Było paru Niemców, którym się to nie podobało. Mówili nawet: „Panie Redzynia, źle jest!". Ale później i oni przywykli do Hitlera...

W sąsiednim Rzgowie aresztowania i wysiedlenia nasiliły się po 1942 roku. Wysiedlono aż 75 procent ludności polskiej. Jeden ze starych mieszkańców Rzgowa opowiedział mi:

— Niemcy obchodzili się tu z Polakami bardzo brutalnie. „Pomocą" służyła gestapo tutejsza mniejszość niemiecka. Aresztowania były głównie z jej winy: raz na tydzień robili zebrania, omawiali kogo zamknąć. Każdego znali, o wszystkich wiedzieli i to było najgorsze. Wszyscy Niemcy należeli do NSDAP albo SA. Wyjątki były nieliczne. Pewien znajomy Niemiec, wyznawca Jehowy, którego „zaprosili" kiedyś na gestapo, pokazał mi potem swoje plecy, sine od bicia. Ale do hitlerowskiej partii nie dał się wciągnąć...

Z czasów okupacji zachowały się w Archiwum Miasta Łodzi dokładne plany sytuacyjne Starowej Góry, czyli Effingshauzen, jak się wówczas ta wieś nazywała. Na planie Kiebitzstrasse (dziś ul. Centralna), przy parcelach z numerami 32 i 33 widnieje jedyne polskie nazwisko: Redzynia. W rubryce „narodowość" — literka P. Jedyne P w długim sznureczku „Deutsch". Wśród załączników do planów jest także „Volksliste". Nie ma na niej Redzyni...

W tym czasie Jan Redzynia był w patriotycznym Związku Zachodnim do którego wciągnął go brat — Józef.

— Niedługo później jednak — wspomina Redzynia — w Rudzie była wpadka. Sypnął niejaki Kosiński, zaczęły się aresztowania. Brat ocalał cudem: nie było go w domu, gdy przyjechali po niego. Mnie ktoś ostrzegł, zdążyłem uciec.

Kiedy wróciłem do Starowej Góry w styczniu 45-tego cała wieś była rozbita, moc trupów, potłuczone czołgi: trzy radzieckie spalone pod niemieckim cmentarzem, szwabskich chyba ze dwadzieścia, samochody, działa, wielkie okopy, amunicja. Dwanaścioro dzieci zginęło po wyzwoleniu przy wykręcaniu min i pocisków. W tym miejscu było natarcie, Rosjanie przycisnęli dziadostwo. Uklęknąłem i pomodliłem się do Boga za to, że stało się zadość ostatniej krzywdzie w trzydziestym dziewiątym.

Według relacji historyków 9 Korpus Pancerny I Frontu Białoruskiego opanował rejon: Tuszyn — Rzgów dnia 19 stycznia 1945 roku rano. Następnie uderzył na Łódź z kierunku południowo-wschodniego, mając na lewym skrzydle 7 Korpus Kawalerii Gwardii (który wyzwolił Pabianice i ostaniał od południa wojska walczące o Łódź), wzdłuż ulic: Rzgowskiej, Rudzkiej i Pabianickiej, wyzwalając Rudę Pabianicką i częściowo Chojny. Tegoż dnia w godzinach przedpołudniowych została przełamana linia niemieckich umocnień polowych. 6 brygada pancerna przełamała opór nieprzyjaciela w rejonie na północ od Rzgowa i wkroczyła do Łodzi wzdłuż ulicy Tomaszowskiej, Przybyszewskiego, Rzgowskiej. Trochę wcześniej, niedaleko Łodzi, a na zachód od Rzgowa ciężki bój z przeważającymi siłami nieprzyjaciela stoczyła grupa czołgów z 16 Brygady Pancernej 6 Korpusu Zmechanizowanego, pod dowództwem lejtnanta M. J. Radugina.

Ale mieszkańcy Rzgowa twierdzą, że pierwsze radzieckie czołgi zjawiły się na ulicach osady już 17 stycznia 1945 roku wieczorem. Choć zaufać trzeba raczej historykowi, niewykluczone jest, że już 17 stycznia dotarły tu jakieś oddziały wydzielone, zwłaszcza, że tempo natarcia czołgów było w czasie całej ofensywy styczniowej bardzo szybkie.

— Niemcy wiali od strony Tomaszowa (gdzie był sztab) przez Rzgów w stronę Łodzi — opowiada jeden z mieszkańców Rzgowa. — Rozrzucili się między Rzgowem a Łodzią, główne siły wycofując przez Starową Górę. Wiedzieli, że to niemiecka wieś, czuli się bezpieczniejsi... Dlatego tak bardzo zaskoczyło ich natarcie Rosjan już 17 stycznia wieczorem. Myśleli nawet, że to ich „kamarades" strzelają... W ucieczce osłaniała Niemców artyleria ustawiona na Rudzkich Pagórkach. Z rosyjskich czołgów pięciu czołgistów zginęło w maszynach spalonych przez „pancerfausty". Pochowali ich w Parku Poniatowskiego. Jeden z czołgów tak ostro ładował, że zapalił się sam. Ale żołnierze uratowali się...

Zaraz po wyzwoleniu zorganizowano w Rzgowie ludową milicję. Komendantem został Tadeusz Lukas. On to właśnie zwrócił się do Jana Redzyni, by ten zajął się organizacją posterunku w Starowej Górze.

W Rzgowie odnalazłem Tadeusza Lukasa i Lucjana Cegiełkę, „pionierów Polski", jak ich nie bez słuszności i skromnie pomniejszając swój udział określił Jan Redzynia.

W 1945 roku Lukas miał 27 lat, Cegiełka był o pięć lat starszy. Dzisiaj pierwszy z nich prowadzi wytwórnię wód gazowanych w Gadce Starej, Cegiełka zaś jest na rencie.

— Milicję organizowaliśmy samorzutnie — wspomina Lukas. — Braliśmy chłopców po wojsku, wręczaliśmy opaski. Z początku mieliśmy w Rzgowie 20 ludzi, mniej na wiejskich posterunkach. Ponieważ miałem za sobą podchorążówkę, zrobili mnie komendantem Broniliśmy wspólnie mienia przed pożarem i rabunkiem.

W jednym z budynków przy rzgowskim rynku znalazł Lucjan Cegiełka wśród śmieci i wilgoci kilka zeszytów formatu A-4. Między ich czarnymi, sztywnymi okładkami zapisana jest — staranną ręką protokólanta pierwszych posiedzeń Prezydium Gminnej Rady Narodowej gminy Gospodarz — cała historia formowania się ludowej władzy na tym terenie.

Pierwsze posiedzenie GRN odbyło się w Rzgowie już 14 lutego 1945 roku. Przypomnę, że Miejska Rada Narodowa w Łodzi zebrała się 7 marca 1945 roku. Lucjan Cegiełka był jednym ze współorganizatorów GRN, jej członkiem, od marca 1945 do lutego 1946 roku — po Bolesławie Broniarczyku — przewodniczącym, później sekretarzem.

Większość Niemców uciekła z okolic Rzgowa razem z wojskiem. Część wyjechała zaraz po wyzwoleniu.

Od kiedy Jan Redzynia zbudował w Starowej Górze pierwszą szklarnię, wieś zmieniła się poważnie i dziś — po gruntownych melioracjach — jest to już „całe miasto pod szkłem", jak powiada Redzynia, źródło witamin dla Łodzi: pomidorów, warzyw, a także kwiatów.

— Drugiej drogi się ojciec doczekał — mówi z uśmiechem córka Redzyni, Teresa, a stary tylko kiwa głową: zamiata jak na tej pierwszej kładli kostkę...

NA SZCZEBLU ZAGRODY

Dalszy ciąg ze str. 1

równało się prawu łowienia ryb. A ryb w jeziorach było mnóstwo.

— Oj, była tu ryba, była — wspomina Grzegorz, otwierając słoik z węgorzem w galarecie. — Jak byłem małym chłopcem, to nawet żyłki nie miałem. Wystarczała zwykła czarna nitka, a haczyk to robiło się ze szpilki. I też ryba brała. Węgorze to rękoma na łące się łapało.

— Cygani, nie wierzcie mu — ostrzega Janka, Grzegorzowa żona, ale Grzegorz przysięga, że to wszystko prawda i Janka sama już nie wie, czy wierzyć mu czy nie.

Grzegorz śmieje się. Mruży małe, niebieskie oczy i wyciąga rękę po papierosa. Grzegorz niby to nie pali. Ma wprawdzie w kredensie paczkę papierosów, ale dla znaczniejszych gości. Takich, co to trzeba kawą potraktować, papierosem poczęstować, zapalić z nimi, kielicha lub piwo wypić. Do Grzegorza przyjeżdżają różni goście, bo jest już trzecią kadencję sołtysem. Grzegorz lubi być ważny, Lubi, jak się nim inni interesują, jak go się radzą, o zdanie pytają. Ale i pożartować lubi. Pomarzyć, choć realista z niego wielki.

Konie

Któregoś dnia, dobrze już po wojnie, chyba było to w 1946 roku, albo może i w 1947, tego już dziś Grzegorz dobrze nie pamięta, ojciec zawołał go i powiedział:

— Dość tego próżnowania. Masz tu dwa konie, wóz, jedź do Gdańska. Tam przy odgruzowaniu można nieźle zarobić.

Pojechał Grzegorz przez Tamową Górę do Kartuz, a później przez Żukowo do Gdańska. Furmanił tam całą wiosnę i lato i jeszcze kawałek jesieni, a zimą wrócił do Zagrody. Ojciec zostawił mu konie i posłał do lasu. W lesie Grzegorz woził drzewo. Zdarzyło się, że zimą woził ryby, kiedy rybacy łowili je w przeręblach. Raz lód się pod nim i saniami pełnymi ryb o mało co nie załamał. Pognał konie i wyjechał z łamiącego się lodu.

— Ja to bym sobie jakoś dał radę — opowiada o tym wydarzeniu — ale szkoda mi było koni i sań pełnych ryb. A było to chyba przed świętami Bożego Narodzenia.

Grzegorz polubił konie. Nauczył się z nimi tak postępować, że słuchają go bez bata, jakby odgadywały jego zamiary. Jakimiż on już końmi nie jeździł przez te wszystkie lata. Potrafił z nimi wyczyniać przeróżne cuda.

Kiedy kręcono telewizyjny film o Kaszubach, trzeba było pokazać kaszubski kulig, jak z fantazją zjeżdża z gór. Któż by to zrobił? Oczywiście, że zgłosił się Grzegorz. Zjeżdżali z Tamowej, od strony Biskupiej Góry. Zjazd tam jest stromy. Scenę trzeba było kilka razy powtarzać. Z koni piana pryskała. Sanie poszły w drzazgi, ale reżyser był zadowolony.

Dom

Jeździł Grzegorz po Kaszubach i wypatrywał żony. Która to białka zda mu się na żonę. Długo szukał. Już kilka razy zdawało się, że coś z tego będzie. Matka już myślała o weselu, ale wszystko kończyło się niczym. Wreszcie wybór Grzegorza padł na Jankę. Dziewczyna była dorodna. Dziewięć lat od niego młodsza. Pracy się nie bała, bo pracy w domu miała dosyć. Grzegorz jej się podobał. Miał mołojecką sławę, ale nie był młokosem i to się liczyło, szczególnie, że gospodarz zapowiadał się z niego dobry.

Wesele odbyło się jak trzeba. Trzy dni się bawiono. Były i poprawiny. Potem zaczęło się normalne życie. Ojciec zostawił Grzegorzowi gospodarkę zadbaną. Dom murowany, stary już — co prawda — ale obszerny. Za domem, trochę pod górkę, bo tu wszystko górzaste, stała wielka obora, z kamienia polnego, murowana, cegłą wykończona i trzciną kryta. Dalej, w stronę Kłodna, bliżej szosy — stodoła. Drewniana, też słomą kryta. Tak jak to się dawniej w Polsce budowało.

Grzegorz okazał się dobrym gospodarzem. Wiedział, że musi tak postępować, aby miał co dzieciom zostawić. Janka urodziła mu dwie córki. Grzegorz powiedział sobie, że do trzech razy sztuka, ale syn zmarł w szpitalu, zaraz po porodzie. Szwagier, mąż Jankinej siostry, który ma córkę i dwóch chłopaków, śmieje się, że jest z Grzegorza tylko damski krawiec. Grzegorz żarty przyjmuje, żartem odpowiada, ale w duchu się gryzie. Co będzie dalej?

Starsza córka od pierwszej klasy dobrze się uczy, choć i w domu pomaga. Czasem na jej głowie cały dom, kiedy przyjdą żniwa, młocka lub zbieranie czy sadzenie kartofli. Radzi sobie znakomicie. Liceum kończy i patrzy, aby uczyć się dalej. Do języków ma zdolności. Koresponduje z dziewczyną spod Smoleńska. Teraz jeszcze uczy się francuskiego i to też dobrze jej idzie. Na tę Grzegorz uczyć nie może. Pójdzie między ludzi. Nauczycielką chyba zostanie.

Młodsza jest oczkiem w głowie, z tej będzie pożytek. Ale to jeszcze szkrab, ledwie do szkoły poszła. Zmyślna jest, sprytna. Gdyby chciała zostać w Zagrodzie? Gdyby męża dobrego dostała...

I tu się w Grzegorzowej głowie narodził pewien plan. Można byłoby go nazwać pułapką na następcę. Byłoby jednak poważnym uproszczeniem rozpatrywać wszystkie gospodarskie poczynania Grzegorza tylko pod kątem realizacji tego planu. Najpierw chodziło zupełnie o coś innego.

Praca

Kiedy czasem Grzegorz frasuje się kiedy po kolacji siada w kuchni przy stole i niby to myśli, a niby rozmawia, to ona wie, że chodzą mu po głowie różne pomysły, że do czegoś się przymierza, coś kombinuje, że będzie o tym myślał i w polu, i kiedy po konie na łąkę pójdzie, i rano, gdy gnój będzie wyrzucał. Wtedy Janka mówi:

— Rzucilibyśmy, Grzegorz, to wszystko, sprzedali gospodarkę i do miasta poszli. Ty umiesz samochodem jeździć, mógłbyś kierowcą zostać, albo gdzie w magazynie pracowałbyś, jak szwagier. Ja bym się na woźną najęła, czy gdzieś na sprzątaczkę poszła. Swoje byśmy zarobili, mieszkanie mieli, o nic byśmy się nie musieli martwić. Nie trzeba byłoby od świtu do późnej nocy robić i bożego świata nie widzieć. Po co nam to?

Grzegorz nigdy nie wie, czy ona mówi poważnie, czy tak myśli i tak chce, czy też go tylko podpuszcza, zmusza do sprzeciwu, do dalszego kombinowania.

— A czarce! — klnie wtedy Grzegorz i idzie do pokoju telewizję oglądać. Dużo nie obejrzy, bo zaraz uśnie. Od swoich myśli może się na chwilę oderwać. Ale jutro, kiedy wstanie o piątej i tak będzie myślał o tym samym.

Dzień pracy ma Grzegorz ułożony racjonalnie. Latem wstaje o piątej, zimą o szóstej. Oporządza konie krowy. Daje jeść świniom. Później wstaje Janka. Gotuje dzieciom śniadanie i idzie doić krowy, daje kurom jeść. Dzieci jadą do szkoły. Wtedy dorośli jedzą śniadanie. I dalej do pracy. Zimą tej pracy jest mniej. Ale latem jej nie brakuje. Janka — wzorem swojej siostry — wymusiła na Grzegorzu spory kawałek pola pod truskawki. Okazało się, że interes to znakomity i teraz kontraktują truskawki, mając z tego spory dochód.

Obiad jest w samo południe. Na obiad musi być mięso. Najczęściej pod nóż idą kurczaki. Zimą otwiera się weki. Po obiedzie — spać na godzinę lub półtorej. Kiedy dzieci wracają ze szkoły, rodzice są już znów przy pracy. I tak do wieczora.

Nielekka to praca. Grzegorz ma maszyny. Nie wszystkie, które chciałby mieć. Inne pożycza. Dziś bez maszyn nie da rady w polu pracować. Ale w domu? Tu pomógł Grzegorzowi przypadek. Wędrowała po Kaszubach para turystów. Zatrzymali się w Zagrodzie. Wynajęli izbę. Okolica piękna. W lesie pełno grzybów. Wkoło woda. Słońce. Wymarzone miejsce do odpoczynku. Zatrzymali się więc na kilka dni. Pichcili coś w kuchni, kiedy Janka biła masło.

— Panie Grzegorzu — powiedział turysta — pozwala pan tak męczyć się kobiecie?

— Niby dlaczego? — zdziwił się Grzegorz. — Kobiety zawsze masło robiły.

— Ale gdyby pan założył do maselniczki zwykłe koło od roweru, a pod ławą umieścił silnik elektryczny i założył skórzany rzemień, to żona nie musiałaby tracić czasu na robienie masła.

Następnego dnia pojechał do Kartuz, kupił koło, rzemień i silnik i już w dwa dni później elektryczność biła masło. Ale Grzegorz na tym nie poprzestał. Zrozumiał, że to jest sposób. Wtedy właśnie zrodził się u niego ten plan. Pułapka na następcę. Był to właściwie zaczątek planu. Grzegorz rozumował prawidłowo. Dlaczego ludzie uciekają ze wsi? Bo w mieście wygodniej im się żyje. A

RYSZARD BINKOWSKI

PODCHODY

1.

Odłożyła papierosa i zmrużywszy lepkie od tuszu powieki, przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Wiesz co? — powiedziała. — Mam wrażenie, że tobie za bardzo na tym zależy.

— Mnie?

— Tak! I wiem, że wolałbyś ruszyć solo.

W głosie jej brzmiały — sarkazm i zazdrość. Starzeje się, pomyślał, jest po czterdziestce i stara się uciec z tego niebezpiecznego wieku. Ale jak? Fochy, awanturki, sceny zazdrości, suto wyszpachlowana twarz. Miał dość tych fanaberii, ale trzymały ich wspólne interesy. No i ten spory kapitalik, którego nie warto tracić za jednym głupim pociągnięciem.

— Oboje zasłużyliśmy na odpoczynek — oświadczył pojednawczo. — A ty w szczególności.

— Owszem — rzuciła z niepokojem — zarobiłam na wczasy, ale jeśli oni już wiedzą...

— No to co? — przerwał jej ostro. — Od wczoraj nie pracujesz. Myślisz, że będą nas szukać w prywatnym pensjonacie?

Przytuliła się doń zalotnie, poczuł słodkawy zapach zmieszanego z perfumami potu. Z odrazą zniósł tę niespodziewaną pieszczotę, ale na razie nie mógł tego okazywać.

— Musimy osobno? — zapytała.

— Jasne! — odparł klepiąc ją po policzku. — Nikt nie powinien wiedzieć, że wyjeżdżamy.

Odetchnęła z ulgą. Niech się cieszy. Głupia gęś, mógłby żyć jak pan, robić sobie skok w bok, bo przed nią łatwo ukryć, ale jak długo? Przeżył z nią dwadzieścia lat, lecz w końcu przyszedł kres. Nie potrafił zmuszać się do czegoś, co go napawało wstrętem.

2.

Siedzieli w czerwonawej poświacie małej salki. W dużej sali orkiestra próbowała instrumentów, kelnerzy snuli się jak w transie, w skroniach przyjemnie szemrał alkohol.

Pochyliła się, z szerokiego dekoltu wypłynęły duże białe piersi.

— Zatańczysz?

Potrząsnął przecząco głową. Wykrzywiła kapryśnie wargi i odginając mały palec uniosła kieliszek z koniakiem.

— Upiję się — szepnęła przekornie.

Spojrzał na nią z mieszanymi uczuciami. Głupiutka, a te jej maniery mogą doprowadzić do rozpaczy. Kiczowata lwica z włoskiego filmu. Duża twarz, szerokie usta, ogromne niebieskie oczy i sypiące się aż na łopatki długie, jasne włosy. Ale ma tylko dwadzieścia pięć lat i takie ciało, że na sam widok — zawrót głowy. Takiej potrzebuje, może z nią robić wszystko. Facet po czterdziestce, pełen wigoru, z przystojną twarzą o ciemnych oczach i z czarującą siwizną na skroniach może sobie na wiele pozwolić. A jeśli ten facet ma w dodatku metr osiemdziesiąt wzrostu, jest inżynierem i ma co wydawać, to wiadomo...

— Jola — powiedział łagodnie — nie gniewaj się, to jeszcze kilka dni. Nie wolno nam się afiszować.

— Wyjechała?

— Jutro. Dziś wydam kilka tysięcy, żeby jej sprawić prezent.

Zachichotała, ściskając go za rękę.

— Będę dobrą sąsiadką, zobaczysz!

— Ale dopiero o dziesiątej. Przed wyjazdem poproszę, żebyś zerknęła na willę.

Przykładając palce do ust spytała konfidencjonalnie:

— Będę wiedziała, gdzieście wyjechali?

— Oczywiście — odparł tym samym tonem. — I czeka cię kilka niespodzianek...

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Żachnął się, że zwracają na siebie uwagę, ale zaraz rozgrzeszył ją z tego impulsywnego odruchu.

3.

O dwudziestej drugiej zadzwonił telefon. Głos kobiety był niewyraźny, lekko przytłumiony.

— Chcę mówić z oficerem dyżurnym.

— Słucham.

— Ale ja... ja się boję...

— Grozi pani niebezpieczeństwo?

— Nie wiem. Ale moi sąsiedzi, państwo K., wyjechali i mnie się widzi, że ich okradziono. Widziałam, jak dwaj ludzie coś stamtąd wynosili...

— Nazwisko i adres — przerwał jej oficer

W słuchawce coś zachrobotało, po czym zalękniony głos oznajmił z wahaniem:

— Anna Karolak, ulica Zapolna siedem...

— Dziękuję. I proszę nie wychodzić z domu.

Po dziesięciu minutach na Zapolnej znalazł się milicyjny radiowóz. Pod wskazanym adresem stał mały, drewniany domek. Obok, za siatkowym ogrodzeniem na wysokiej podmurówce mieściła się solidna, pudełkowa willa. Strzegła do niej wejścia kuta, żelazna brama i furtka. Oba budynki pogrążone były w ciemnościach.

Milicjanci przez pięć minut dobijali się do drzwi, wreszcie w domku coś zaszeleściło, brzęknęło i strwożony, starczy głos zapytał:

— No, kto tam?

— Milicja.

— Jezusie! A... a po co?

— Pani się nazywa Karolakowa?

— No, pewnie!

— Pani nas wzywała, tak?

Za drzwiami zapadło milczenie. Po chwili zalękniony głos oświadczył:

— Wyśta nie z milicji...

Kierowca skierował światła reflektorów na domek.

— Milicja — jęknęła kobieta.

— Podobno okradli pani sąsiada — powiedział starszy sierżant, dowódca nocnego patrolu.

— Jezusie, wiedziałam, że tak będzie — stęknęła Karolakowa i otworzyła drzwi.

Była mała i siwa, przygarbiona, mogła mieć siedemdziesiąt lat.

— Pani do nas nie dzwoniła?

— Nie mam telefonu...

— Kiedy państwo K. wyjechali?

— Dzisiaj, ze dwie godziny temu. Nie, dłużej, jeszcze przed ósmą. Pan Jan zaszedł i prosił, żeby dać baczenie. Ale co ja tam, głucha jestem...

— Gdzie wyjechali?

— Pan Jan mówił, że na kilka dni do rodziny, gdzieś za Wrocławiem...

— Od ósmej nic podejrzanego się nie zdarzyło?

Dotknęła palcami obu rąk zaciśniętych warg i zastanowiła się, mrużąc małe, siwe oczy.

— Słyba to — rzekła z wahaniem — że w jakieś trzy kwadranse po odjeździe pod willę zajechał samochód. Leżałam w łóżku i ledwie co słyszałam, bo nie było światła. Z ciekawości wyjrzałam przez okno. Samochód stał przed bramą. Wydawało mi się, że pan Jan wychodził z willi. Położyłam się, bo pomyślałam, że czegoś zapomnieli i wrócili...

— To mógł być złodziej.

Pokiwała przecząco głową, pobłażliwy uśmieszek przewinął się przez jej wąskie wargi.

— Proszę pana! Jestem emerytką i czasem sprzątam u państwa K. Jak się zamknie bramę i furtkę to czołgiem nie wjedzie. A w drzwiach są dwa specjalne zamki.

Przerwało jej wejście milicjanta.

— Słuchaj — zwrócił się do dowódcy — brama i furtka są tylko przymknięte. Na drzwiach widoczne ślady włamania...

— Pani Karolakowa, będziemy musieli wejść do willi...

4.

Wezwani przez radiowóz technicy zabezpieczali ślady, fotografowali, zdejmowali odciski palców. W obecności Karolakowej sporządzono wstępny protokół oględzin. W pokojach panował nieład, po podłogach walały się części garderoby, papiery i fotografie. Młody porucznik, który zajął się tą sprawą, zapytał:

— Może pani stwierdzić, co zginęło?

— Skądże! Tak dobrze, to nie wiedziałam, co mają. Zresztą to i owo mogli wziąć ze sobą. Ale telewizora i pralki — rozejrzała się — chyba nie zabrali. Maszynę do pisania też mieli, dywany...

— Dobrze! A kim oni są, czym się zajmują?

— Pani Zosia jest urzędniczką, pracuje w Zakładach Wełnianych. A pan inżynier to nie wiem dokładnie, ale zdaje się, że w rolnictwie.

— Panie poruczniku, tu się szykowało jakieś wesele — oświadczył wesoło milicjant. — W piwnicy stoi czterdzieści butelek. Ale żaden likier strażacki! Same żytniowy, soplice i winiaczki...

— Pani Zofia nie prowadziła czasem potajemnie? — zwrócił się do Karolakowej porucznik.

— Broń Boże! — zaprzeczyła.

Porucznik pokiwał z powątpiewaniem głową. Jeśli była to potajemna ekskluzywna, dla lepszych gości, to emerytki by nie wtajemniczali. Zresztą co innego go trapowało. Na stole znaleziono kopertę z listem pożegnalnym. Jan K. oświadczał, że odchodzi i nigdy już się z żoną nie zobaczy. Słowo „żegnaj" mogło mieć dwuznaczny wydźwięk, lecz jeszcze bardziej interesująca była treść kartki leżącej obok listu pożegnalnego. „Radzę zainteresować się kantami Zofii K. w Zakładach Wełnianych. Dżentelmen wiamywacz". Tekst napisany był na maszynie.

Zabezpieczono mieszkanie i czekano, ale nie biernie, na powrót nieszczęsnych gospodarzy.

Ekspertyza wykazała tymczasem, że w mieszkaniu znajdują się wyłącznie ślady linii papilarnych małżonków K., co można było stwierdzić na podstawie odcisków palców złożonych przez nich przy wyrabianiu dowodów osobistych.

Zastanawiła fakt, że dwa krzyżujące się przed bramą ślady opon samochodowych były zupełnie identyczne...

5.

W trzy dni po opisanych zdarzeniach przed willą znalazła się Zofia K. Ujrzawszy plomby na drzwiach, mocno zaniepokojona udała się na milicję.

— Tak pani Zofio — stwierdził porucznik — przeczucia panią nie mylą. Willa została okradziona..

Z rozpaczy jęła tak szlochać, że odpadła jej jedna sztuczna rzęsa, a po spudrowanych policzkach ciekły smugi tuszu. Rozpacz osiągnęła apogeum, gdy przejrzała protokół oględzin. Stwierdziła, że z mieszkania zniknęły m. in. pralnica automatyczna, telewizor, trzy dywany, kupony na sukienki, swetry damskie, trzy tranzystory, trzysta dolarów USA, kryształy akordeon, magnetofon, dwa kożuchy i cała biżuteria. Gdyby do tego włączyć samochód marki fiat 125, suma strat przekroczyła 700 tys. złotych.

Gdy połknęła kilka cugów klubowego na uspokojenie, porucznik spytał:

— A gdzie pani właściwie przebywała, pani Zofio?

— Jak to, gdzie? Na wczasach w Zakopcu! O Jezu — jęknęła — przez tę kradzież całkiem zapomniałam. Przecież mąż miał dołączyć, nie było go trzy dni, więc wróciłam.

Porucznik z niewyraźną miną podał jej list pożegnalny. Przebiegła szybko wzrokiem treść i zbladła.

— Boże — szepnęła — co się z nim stało? Jakieś nieszczęście?

— No — bąknął — nie jest tak źle.

— Chcę go zobaczyć! — wrzasnęła tragicznym głosem.

Porucznik, obawiając się eksplozji, nie wiedział, jak jej to wyjaśnić. Bo zważywszy na krótki czas akcji, łatwo było wydedukować, że przestępca niedaleko wywiózł łupy. I rzeczywiście, na drugim końcu miasta przypadkowo odnaleziono samochód inżyniera Jana K. On sam znajdował się w mieszkaniu Joli R. Zresztą razem z Jolą i łupami.

Odchodząc od tematu, porucznik rzucił jakby od niechcenia:

— Pani prowadziła melinę pijacką dla lepszych gości?

— Ja? — otwarła ze zdumienia usta.

— W piwnicy został spory zapas alkoholu. Mąż twierdzi, że to pani sprawka...

— Gdzie on jest? — zawyła histerycznie.

— Z kobietą?

Porucznik przytaknął.

— Tak, proszę pani — rzekł współczująco. — To on zamarkował u was melinę, kupując alkohol. On również wywiózł wasz majątek...

Pani Zofia w sposób całkiem naturalny zemdlała.

Gdy po kilku zabiegach medycznych doszła do siebie, oczy jej zapłonęły nienawiścią.

— Skoro tak — wyszeptała mściwie — to ja coś panu powiem, poruczniku. Miesiąc temu na przyczepy załadowano z bocznicy kolejowej 6 ton koksu. Ciągniki były z SKR. Ten koks zamiast do fabryki, trafił do badylarza, Zenona B. Mój mąż sprzedał go za cztery tysiące!

— Ciekawe — mruknął porucznik.

— To nie wszystko! — ciągnęła w furii Zofia. — Dwa tygodnie temu do GS nadszedł transport czterech ton kwalifikowanego żyta siewnego. Mąż zabrał to żyto z wagonu, zawiózł na targ do P. i sprzedał po sześć złotych za kg rolnikom i hodowcom drobiu. Wystarczy?

— W zupełności. Dziękuję pani za obywatelską postawę. Tylko — porucznik zawiesił głos — mam jeszcze pytanie.

— Słucham?

— Dlaczego pani zwolniła się z pracy?

— Ja nie muszę pracować — odparła z dumą.

Porucznik rzucił na biurko kilka kwitów, wystawionych przez składy opałowe w mieście. Pani Zofia przez chwilę wpatrywała się w nie pełnymi grozy oczami, by po chwili zemdleć ponownie.

Bo jak na jeden dzień, przeżyć miała stosunkowo za wiele. A jak chodzi o kwity, to Zofia K. zarobiła nimi na wczasy. Do jej obowiązków należało wydawanie asygnat na przydzielaną przez Zakłady Wełniane pulę węgla dla pracowników. Pobrała ponad dwadzieścia kwitów in blanco i wpisała na nie fikcyjne nazwiska. Kwity sprzedała wozakom po dwa tysiące sztuka. No, i zwolniła się...

Tak więc małżonkowie wzajemnie się wkopali, odsiedzieli wyroki, ale na tym wojna małżeństwa się nie zakończyła. Pierwsza przystąpiła do działań bojowych Zofia K. Oskarżyła męża o przywłaszczenie sobie większej części ich wspólnego majątku. Prokurator też był tego zdania. Małżonkowie ściągnęli fachowe posiłki i batalia nabrała rozmachu.

Fachowcy zaczęli się licytować, czy Jan K. ograbił żonę, czy tylko zabrał część wspólnego majątku.

Sąd skarał Jana K. grzywną za gangsterski podział wspólnoty majątkowej. Każda ze stron poczuła się skrzywdzona i teraz zbiera siły do nowych manewrów strategicznych.

Gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta. Kto? Oczywiście Jola R., która tak świetnie udawała pamiętnego wieczora sąsiadkę. Ona najmniej ucierpiała w potyczce. Czeka z utęsknieniem na zakończenie procesu majątkowego, a potem na rozwód. Ale jak się to wszystko przeciągnie, z faceta dojnego może zostać tylko przystojniak.

Wówczas Jolę miłość opuści tak gwałtownie, jak przyszła.

---

czy na wsi nie można osiągnąć tego samego?

Szły dobre lata dla rolnictwa. Kraj wkraczał w okres dynamicznego rozwoju. Celem było podniesienie poziomu życia całego narodu. W programie partii wiele uwagi poświęcono rozwojowi rolnictwa. Otwierały się możliwości dla tych rolników, którzy chcieliby i umieli dobrze gospodarować. Trzeba było jednak dokonać wyboru. Na coś się zdecydować. Wybrać specjalizację.

Grzegorz najpierw popatrzył, co robią inni. Coraz więcej rolników nastawiało się na hodowlę. Edek Dejk pierwszy dokonał wyboru i zdystansował całą wieś. Hodowla dawała mu dochód. Zaczął budować nową, dużą chlewnię. Później kupił sobie samochód. O budowie domu myślał. To była ta droga, na którą trzeba było jak najszybciej wstąpić. Stajnia, którą postawił jeszcze ojciec, a w której współżyły zgodnie świnie, krowy, konie i kury, nie nadawała się już dla Grzegorzowych zamiarów. Trzeba było zacząć od postawienia nowej chlewni. Ale na to trzeba było pieniędzy. Pożyczkę da gmina. Samą pożyczką jednak daleko nie ujedziesz.

Zaczął rozwijać hodowlę. Zakontraktował świnie i cielaki. Najpierw skromnie. Po kilka sztuk. Zaczął hodować indyki i gęsi. Janka więcej kur kupiła, nie brakowało w domu jajek, można je było też sprzedawać w spółdzielni. Do tego dochodziły zyski z uprawy truskawek. Coraz wyraźniej prywatna polityka rolna Grzegorza zaczęła zbiegać się z polityką rolną państwa.

To był początek. Grzegorz w pewnym momencie zrozumiał, że nim postawi chlewnię, musi kupić samochód. Nie po to, aby innym przed oczyma świecić, kiedy jedzie w niedzielę do Chmielna do kościoła. Samochód ułatwiał mu poruszanie się po okolicy. Mógł pojechać do Gdyni czy Gdańska, a tak można dobrze i truskawki sprzedać i indyki czy gęsi przed świętami. Kupił syrenkę. Tarpan był dla niego za drogi. Sprzedał wuefemkę. Sam — na polnych drogach — nauczył się jeździć. Nie bardzo miał czas, aby chodzić na kurs. Sam nauczył się znaków i przepisów i poszedł zdawać egzamin. Zdał pomyślnie.

Następnie zabrał się do budowy chlewni. Od znajomka pożyczył betoniarkę „własnej konstrukcji", zrobioną z beczki po ropie naftowej. Pożyczył formy i zaczął produkować pustaki. Z cementem wprawdzie nie było łatwo, ale od czego jest chłopska przemyślność. Może nie wszystko załatwił jak trzeba, ale kradzionego nie kupował. Budowali latem. Mury schły szybko. Konie i krowy nocowały na pobliskiej łące. Chlewnia stanęła szybko. Duża, jasna, przestronna, ze strychem na siano i ziarno, z pomieszczeniami dla kur i na parownik. Teraz można było ruszyć z hodowlą.

Grzegorzowe byczki kontraktowano na eksport. Kupowali je Włosi. Wymagania mieli surowe. Waga i wiek musiały być akuratne. Z prosiętami nie było większych kłopotów. Kobyły źrebiły się regularnie i wkrótce okoliczni chłopi wiedzieli, że po ogierze Pustkowskiego i Grzegorzowych klaczach źrebaki są dorodne i silne. Miał więc Grzegorz zbyt i na młode konie. Rosło konto w banku rolnym.

Trzeba budować

Grzegorz oglądał stary dom i coraz więcej dziur w nim znajdował. Janka dawno już miała pralkę i śmietanę mechanicznie odciągała z mleka. Popatrywała na Grzegorzowe oglądanie domu i o Edku Dejku opowiadała, jaki to luksus sobie buduje.

— Piętrowy będą mieli — mówiła — z dużymi oknami. A przez nasze ledwie trochę słońca wchodzi.

Zdenerwował się Grzegorz, pojechał do stolarza i wielkie okna zamówił, które kiedyś weneckimi nazywano. Okna przywiózł i w izbie babci postawił. Tak nazywali izbę, w której kiedyś Grzegorzowa matka mieszkała. Janka okna obejrzała i zapytała:

— Co chcesz z nimi zrobić?

— Od południa je wstawimy. Mur się wzmocni. Stare się wyrzuci i dom nabierze innego wyglądu. Ładniejszy będzie. A później się go dalej poprawi.

W niedzielę szwagier przyjechał. Szwagier właśnie sobie dom postawił. Na truskawkach się dorobili. On w Gdyni nadal pracuje. Dojeżdżać musi, ale się już przyzwyczaił. Ona — Janki siostra — prowadzi bibliotekę. Wodę sobie z pobliskiej szkoły pociągnęli. Centralne założyli. Szwagier Grzegorzowych planów posłuchał, chwilę podumał. Kucha — tak tam ciasto nazywają — kawą popił i głową pokiwał.

— To nie jest żaden interes.

— Czemu? — zapytał Grzegorz.

— Ile, myślisz, w ten dom trzeba włożyć?

— No... — powiedział Grzegorz niepewnie, bo tego sobie jeszcze nie policzył.

— No... — powiedział szwagier i poszli ściany opukiwać. Okazało się, że w środku sama glina. Mury też czas nadgryzł.

— Będzie to kosztowało drożej niż nowy — stwierdził szwagier i Grzegorzowi zabił ćwieka.

— Najpierw postawi się fundamenty — powiedział Grzegorz któregoś zimowego wieczoru, kiedy dzieci poszły oglądać telewizję. — Zaleje się cementem podłogę, aby mury się nie popsuły. W piwnicy musi być garaż, pralnia, kotłownia, musi być miejsce na węgiel i koks, no i aby było gdzie trzymać masło i śmietanę.

— A cegłę skąd weźmiesz?

— Rano do gminy zadzwonię.

Grzegorzowi gmina założyła telefon. Należał mu się jako sołtysowi. Drugi telefon we wsi miał Klejsa, komendant straży pożarnej.

— Na co ci, Grzegorzu, cegła? — pytali w gminie.

— Stodołę będę budował.

— Po co ludzi zwodzisz? — dziwiła się Janka.

— Po co mam mówić, że na dom. Najpierw niech dadzą, później zrobi się jak chcemy. Cegły nie odbiorą. Stodołę i tak trzeba wybudować.

— Ale najpierw dom?

— Najpierw dom.

Janka była ciekawa, jaki też ten dom ma być. W Chmielnie i Kartuzach oglądała jak inni budują. Nie śmiała pytać. Czekała.

— Dom będzie piętrowy — powiedział którego dnia Grzegorz.

— Z tarasem — podchwyciła Janka. — A na tarasie balustrada żelazna. Widziałam taką w Kartuzach.

— I będzie łazienka. I duża kuchnia.

— I centralne ogrzewanie.

— I centralne ogrzewanie — potwierdził.

Rozhasał się w swoich zamierzeniach. Któregoś wieczoru nagle ją zaskoczył.

— Traktor mi potrzebny. — powiedział.

— Grzegorz, czyś ty się szaleju nałykał? A może ty na piwie był w spółdzielni?

— Traktorem łatwiej by było w polu robić. I konie tyle by nie żarły, bo bym tylko jedną klacz, te młodszą zostawił. Jeden koń w gospodarstwie potrzebny.

— Przecież my nie damy rady.

— Ano, nie damy. Najpierw dom postawimy. Ale o traktorze będę myślał.

Barobus

Wiosną do Zagrody zawitało dwu mężczyzn. Jeden młodzik, wąsaty. Modnie ubrany. Drugi starszy, gruby, solidny człowiek. Budził zaufanie. Mówił do młodszego — Wojtek, a młody wołał go Kucharzem.

— My tu do pana — powiedział Kucharz — z interesem.

— Kupić coś chcecie?

— Kupić, to nie. My mamy inny interes. Chcielibyśmy wiedzieć, do kogo to pole po drugiej stronie szosy należy. To nad jeziorem.

— To moje pole.

— Całe pole nam niepotrzebne. Kawałek tylko. Myśmy umyślili taki interes. Ludzie mają samochody. Po Polsce latem jeżdżą. A będzie tych samochodów więcej. I na Drogę Kaszubską przyjadą. Sprzedawalibyśmy ludziom kiełbaski, kurczaki, piwo, lemoniadę, pepsi-colę. Ludzie ze wsi też by przyszli.

— Na piwo musowo by przyszli. Teraz piją piwo w spółdzielni.

Latem stanął nad jeziorem stary autobus do potrzeb baru adaptowany. W Zagrodzie zaczęto kopać dół pod fundamenty. U Grzegorza zamieszkał też Staszek, zwany Mamuśką. Był to niezwykle zdolny murarz, ale wszystko co przez tydzień zarobił, w sobotę i niedzielę przepijał. W poniedziałek trzeba było mu skrzynkę piwa podrzucać, aby zmógł kaca i mógł się wziąć do roboty. Przez resztę dni wódki do ust nie brał. Tylko po jedzeniu gardło butelką piwa przepłukiwał.

Traktor

Dom postawili w dwa lata. Było z tym kłopotu co niemiara. Janka ze starszą córką same malowały okna, drzwi i podłogi. Grzegorz chyba ze sześć razy do Kartuz do blacharza jeździł, gdyż ten wziął zadatek, wziął materiał, a naturę miał gorszą od Staszka — Mamuśki, bo popijał codziennie i słowa nie dotrzymywał. Był też kłopot ze szklarzem, ale mniejszy. Kiedy dom wreszcie stanął i przenieśli się do niego ze starego, Grzegorz rodzinę sprosił. Oglądali dom, głowami kiwali. — Jo — mówili — to jest dom. Jak w mieście. A Grzegorz rósł w dumę. O to mu przecież chodziło, aby było jak w mieście.

— Gazu ci tu tylko brakuje — powiedział ktoś i Grzegorz zaraz potem do Kartuz podanie o gaz w butlach złożył. Janka już się cieszyła, ale z Kartuz przyszła odpowiedź, że „z powodu braku wolnych butli, podanie Obywatela nie może być pozytywnie załatwione w tym roku".

— Za jakiś czas znów spróbujemy — pocieszał Jankę Grzegorz.

Cieszył się Grzegorz domem, cieszył się, aż pewnego dnia, po kolacji, już w nowej kuchni, zamyślił się nad czymś.

— Grzegorzu, o czym rozmyślasz? — zapytała Janka.

— O tym, że długo na traktor trzeba czekać. Najpierw pieniądze wpłacić. I pieniędzy nie ma i traktora nie ma. To żaden interes. Ale co robić? Potrzebny mi traktor.

Los sprzyjał Grzegorzowi. Dostał traktor z puli wojewody jako dobry rolnik i sołtys. Sprzedał samochód. Osiągnął kolejny etap w realizacji swego planu. Aby na wsi nie żyło się gorzej niż w mieście. Aby nie zaprzepaścić pracy ojców, aby ziemia, na której oni pracowali, dostała się w dobre ręce. Aby nadal rodziła.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wszechpotężny dolar?

„The almighty dollar" — pisał w połowie ubiegłego wieku z nieukrywanym triumfem Washington Irving. Wszechpotężny dolar. Dolar wszystko może. A każdy dolar jest niczym żołnierz, który wyrusza w świat dla pomnożenia potęgi i chwały niezrównanej Ameryki. Owszem, dolar może wiele, ale od pewnego czasu jakby tracił grunt pod nogami. Leci na łeb na szyję. Traci na wartości. Za jednego dolara otrzymuje się w „Bundesrepublice" niewiele ponad dwie niemieckie marki.

Do czego to doszło. To już niemal kamień obrazy. Amerykański tygodnik „Time" bije na alarm. Ten poważny i szacowny też wielce tygodnik, który leży na biurkach ministrów i jest uważnie czytany przez biznesmenów, pisze wprost, że jest źle. Jest nawet tragicznie. Krzywda wielka dzieje się zwłaszcza amerykańskim żołnierzom, którzy „wypełniają swą dziejową misję" stacjonując w RFN. Głównie w rejonie Kaiserslautern. To cała armia. Liczy 224 tysiące oficerów i żołnierzy. Wszyscy oni otrzymują swe gaże w dolarach. A tu dolar w stosunku do marki ustawicznie traci na wartości.

Konsekwencje tego są oczywiste.

Za swe dolary amerykańscy żołnierze kupują w RFN coraz mniej towarów.

Dolar spada, a wraz z tym spadkiem poziom życia Amerykanów w „Bundesrepublice" obniżył się w ostatnich miesiącach o 12 procent. To nie w kij dmuchał. Sprawa staje się poważna. Urasta do ogromnego problemu. Żołnierze są niezadowoleni. Żołnierze się skarżą. Żołnierze dowodzą, że jak kto ma dzieci i żonę na karku, żadną już miarą dziś za dolary w RFN wyżyć nie może. Nie daje rady. Bo dolar nie ten co kiedyś. Jest cieniem dawnej potęgi, kiedy to za dolara dostawało się 4—5 marek i żyło się jak ów przysłowiowy pączek w maśle.

„Time" posługuje się przykładem Angela Roblesa. To żołnierz — specjalista. Pobiera miesięcznie 635 dolarów. Taką ma gażę. Według „konikowego kursu" z alei Kościuszki w mieście Łodzi jest to gaża astronomiczna. Wedle kursu rzeczywistego, takiego co chodzi po ziemi i trzyma się życiowych realiów, to wcale nie tak dużo. To zwłaszcza mało w RFN. Bo tenże Robles sprowadził żonę. Zapłacił za przelot swej Ady przez Atlantyk 1 200 dolarów. Tyle taki bilecik kosztuje. Tenże Robles popełnił inny błąd. Wynajął mieszkanie, przebudowane z dawnego „Gasthausu" w Kaiserslautern, zatem z byłej restauracji. Zimne to, nieprzytulne, ale miesięczny czynsz opiewa na 290 dolarów.

I stój tu na własnych nogach.

Utrzymaj się z żoną w RFN za 700 marek miesięcznie.

To już dno, to już skraj autentycznej biedy i prawdziwej niemal nędzy. Tak jest, nędzy, bo 700 marek nie zapewnia nawet urzędowego minimum życiowego. Rzecz może się wydać nieprawdopodobna i na wszystkie strony ponaciągana. Jakże, Amerykanie i bieda? Coś tu nie tak. To takie historyjki powymyślane i dane innym do wierzenia. A jednak to tak właśnie, a nie inaczej. To Amerykanie tak piszą o sobie samych. To „Time" dowodzi, że 16 tysięcy żołnierzy amerykańskich w RFN, tych najniżej zaszeregowanych, cierpi niedostatek i z trudem wielkim wiąże koniec z końcem.

Bo dolar nie ten co kiedyś.

„The almighty dollar" — tak było rzeczywiście, a przynajmniej mogło się zdawać, że tak jest w istocie. Przecież pamiętam. Przecież te sceny wryły mi się w pamięć. I pozostały. Nawet dolar był kiedyś niepotrzebny. Rozparci w swych jeepach żołnierze amerykańscy byli istotnie władcami. I byli panami. Dolar był im niepotrzebny. Wcale po niego nie sięgali. Starczyło, że podrzucili do góry tabliczkę czekolady, paczkę „Camelí" lub puszkę „Nescafe", a otaczał ich w jednej chwili rój cały roześmianych i gotowych na wszystko niemieckich blondynek.

To były czasy...

Czy kiedykolwiek powrócą?

Raczej wielce to wątpliwe. To koło potoczyło się w innym zupełnie kierunku. A pamiętam jak to było. Te sceny mam wciąż przed oczami. Widzę długi pociąg na peronie frankfurckiego dworca. Na wagonach napisy gigantycznych rozmiarów: „Auf Wiedersehen Fräuleins". — Do zobaczenia Niemeczki. Żołnierze wracali za ocean. Zmieniały ich inne jednostki. Żołnierze żegnali niemiecką ziemię. W gruncie rzeczy nie żegnali niczego innego jak niemieckie dziewczęta, które wobec Ameryki chyba bardziej się chyba „zasłużyły" niż wszyscy Adenauerowie razem wzięci.

Dziewczęta powiewały chusteczkami.

Czyniły to jednak z ociąganiem i bez zbytniego jakby entuzjazmu. Robiły to bez przekonania i niezbyt szczerze. Być może Walt Whitman wiedział co pisze, kiedy skreślił takie oto znamienne zdanie: „Amerykanie, podobnie jak Anglicy, uprawiają miłość tak nędznie i tak prymitywnie, jak żaden inny naród na tym świecie...". Być może. Nie wiem. Ale dziewczęta chyba wiedziały. To zresztą nie było ważne. Dolar był wówczas ważny. „The almighty dollar" — wszechpotężny dolar, który jeśli nie mógł wszystkiego, to mógł wówczas bardzo wiele.

Jak te czasy się zmieniają.

Żony amerykańskich żołnierzy stacjonowanych w RFN muszą dziś dorabiać do mężowskiej gaży w niemieckich firmach i przedsiębiorstwach.

Amerykanka, która pracuje u Niemca. Zarobkowo pracuje. Gdyby ktoś w 1946—47 roku brał w rachubę takie możliwości, uznano by faceta w amerykańskiej strefie okupacyjnej za całkowicie pomylonego i odesłano na dłuższą kurację w pewnym zakładzie leczniczym. A jednak do tego doszło. Tak jest rzeczywiście. Takie są fakty Te dzisiejsze.

Amerykanie wiary wszelako nie tracą. Są przecież wiecznymi optymistami. Jeszcze dolar weźmie górę. Jeszcze markę pognębi. Ten sie śmieje, kto się śmieje ostatni. Może... To przecież amerykańskie przysłowie powiada, że „Bóg troszczy się o dzieci, troszczy się o pijaków i zawsze troszczy się o Amerykanów". Może, zobaczymy, bo jak na razie, to na to wygląda, jakby troskliwe oko opatrzności raczej dolara omijało. I to z daleka omijało.

JAN BĄBIŃSKI

Foto: Archiwum

FATALNA MIŁOŚĆ KSIĘŻNICZKI

Londyński „Observer" przynosi szczegóły głośnej już sprawy stracenia w Dziddzie pary młodych Saudyjczyków.

Kiedy w lecie ub. roku w Arabii Saudyjskiej wydano dekret, na mocy którego zakazano podróżowania samotnym kobietom, młodzi Saudyjczycy z trudnością opanowali się, aby nie wyrazić sprzeciwu wobec tego co uznali za nadmiar gorliwości muzułmańskiej ze strony rządzącej rodziny królewskiej.

Gniew wielu Saudyjczyków oraz innych Arabów wobec wprowadzonych przez władze posunięć przemienił się stopniowo w przerażające niedowierzanie, a następnie oburzenie w miarę tego jak do publicznej wiadomości stopniowo zaczęły przedostawać się prawdziwe przyczyny, które doprowadziły do wprowadzenia wyżej wymienionego dekretu. Chodzi tutaj o tragiczny romans który miał miejsce w ubiegłym roku. Bohaterami romansu byli: młoda księżniczka z rodziny królewskiej oraz tzw. człowiek z ludu, którego pokochała całym sercem.

23-letnia księżniczka Misza była jedną z 2 tysięcy księżniczek należących do rodu Saudów. Jej dziadkiem był książę Mohammad Bin Aziz, najstarszy żyjący syn Ibn Sauda, a zarazem najstarszy książę saudyjskiej rodziny królewskiej. W domu Saudów uznaje się tylko takie małżeństwa, które nie wykraczają poza rodzinę królewską, gdyż uważa się małżeństwo za jeden ze środków umocnienia interesów rodziny królewskiej. Kobietom kategorycznie zabrania się wychodzenia za mąż za Saudyjczyków, którzy nie są członkami rodu.

Tak więc, kiedy w lecie ub. roku do Rijadu dotarły wieści o romansie księżniczki Miszy w Bejrucie, dziewczynę natychmiast zawezwano do powrotu do kraju oraz oświadczono jej, że musi wstąpić w związki małżeńskie z mężczyzną wybranym przez swą rodzinę — w grę wchodził mężczyzna w wieku jej ojca. Natomiast jej zalotnik, którego poznała w czasie studiów w Libanie, został odrzucony przez rodzinę królewską jako kandydat na męża, gdyż uznano go za człowieka z ludu, pomimo tego, że był on kuzynem wpływowego ambasadora Arabii Saudyjskiej w Bejrucie, emerytowanego generała Ali Szaara, który jako konsul reprezentował Rijad przy podpisywaniu paktu arabskiego, który położył kres libańskiej wojnie domowej.

Księżniczka zamiast podporządkować się woli rodziny zrobiła coś przeciwnego, a mianowicie usiłowała opuścić ze swym mężem kraj. Młodzi namówili szejcha, aby udzielił im ślubu, a następnie udali się do nadmorskiego uzdrowiska noszącego nazwę Zatoka, położonego na północ od Dżiddy. Zamieszkali w ekskluzywnym hotelu Al-Attras. Tam też jesienią ub. roku, pomimo dekretu zakazującego podróżowania samotnym kobietom, rozpoczęli przygotowania do potajemnego opuszczenia kraju.

Najpierw księżniczka upozorowała utonięcie, pozostawiając własne ubranie na brzegu. Następnie, przebrana za mężczyznę, z krótko obciętymi włosami ukrytymi pod nakryciem głowy udała się na lotnisko w Dżiddzie, gdzie miała wejść na pokład samolotu wraz z grupą swoich przyjaciół. Jednakże pomimo męskiego przebrania księżniczka została zidentyfikowana przez służbę bezpieczeństwa, która poddała pasażerów kontroli przed wejściem na płytę lotniska. W oparciu o nakaz królewski młoda para została aresztowana.

Młoda księżniczka przyprowadzona przed oblicze swego dziadka, głowy tej gałęzi rodu królewskiego, do którego należała, prosiła go przynajmniej o łaskę dla swego męża. W Arabii Saudyjskiej — zgodnie z tradycją — kobieta, która dopuszcza się zdrady małżeńskiej zostaje ukarana przez własną rodzinę, która w ten sposób we własnym odczuciu dokonuje oczyszczenia własnego honoru. W tym przypadku rodzina królewska również narzuciła własne reguły, które zabraniają zawierania związków małżeńskich z osobami nie wchodzącymi w skład domu Saudów.

Książę Muhammad, który dwukrotnie został pominięty przy wyborze na króla ze względu na swój charakter choleryka oraz nadużywania alkoholu — stąd jego przydomek, Muhammad Abu Szaarain (Muhammad o dwóch grzechach) — jest tradycjonalistą, który pozostał głuchy na rozpaczliwe apele wnuczki.

Najwyższy sąd religijny Arabii Saudyjskiej, któremu przewodniczy Kadi, odmówił wydania osądu w tej sprawie, bez najmniejszych zastrzeżeń potwierdzając opinię wielu Saudyjczyków, wedle których w tym przypadku prawo muzułmańskie nie zostało naruszone przez ucieczkę młodej pary, gdyż stanowili oni związek małżeński. Książę Chaled, jedyny żyjący rodzony brat księcia Muhammada odmówił podpisania nakazu egzekucji, jednakże nie interweniował dla zapobieżenia temu, żeby jego brat nie wprowadził swojej własnej formy rodzinnej dyscypliny.

Na rozkaz księcia Muhammada młoda para została doprowadzona na bazar w Dżiddzie w południe w piątek — jest to tradycyjna pora oraz miejsce wymierzania kary kryminalistom. Sprowadzono tam również pozostałe księżniczki saudyjskie, aby były świadkami tego spektaklu. Na oczach męża wasale księcia Muhammada zastrzelili księżniczkę Miszę. Natomiast młody Szaar został ścięty i to w sposób budzący wyjątkową grozę, gdyż egzekucja została przeprowadzona nie przez kata dworu, który zazwyczaj ścina głowy specjalnym mieczem, ale przez straż przyboczną starego księcia.

Epizod ten jest przede wszystkim osobistą tragedią, okropnym lapsusem społeczeństwa, które znajduje się w okresie gwałtownych przemian, gdzie zmiany socjalne, które dokonywały się w Europie przez szereg stuleci, tutaj mają miejsce w przeciągu kilku lat. Wydarzenie to jednakże nie jest typowe dla dzisiejszej Arabii Saudyjskiej i zaszokowało nawet konserwatywnych zwolenników rodziny królewskiej. Ilustruje ono niezwykłe zamieszanie, jakie zostało stworzone przez dążenie rodziny królewskiej do modernizacji kraju, którą usiłuje przeprowadzić nie tracąc jednocześnie swych wpływów, czy też nie narażając się konserwatywnej opinii religijnej. Władcy saudyjscy, którzy posiadają coraz większe wpływy w świecie finansów i polityki, wykorzystują bogactwo naftowe swego kraju dla zrealizowania dalekosiężnych planów rozwoju gospodarczego i socjalnego, co bez wątpienia wywiera głęboki wpływ na społeczeństwo saudyjskie. Równowaga sił między rywalizującymi odłamami rodziny królewskiej oznacza, że liberalizacja socjalna kraju jest prowadzona w sposób niekonsekwentny, a ponadto przywódcy aktualnie sprawujący władzę nie wyrażają najmniejszej chęci, aby się nią dzielić.

Jednakże władcy saudyjscy wykazali pewną tolerancję i wprowadzili pewne posunięcia dla poprawy pozycji kobiety, szczególnie dotyczy to oświaty, gdzie jak na warunki saudyjskie coraz większa liczba dziewcząt uczęszcza do szkół.

Niemniej jednak kobietom w Arabii Saudyjskiej nadal nie wolno prowadzić samochodu, ani też pokazywać się w miejscach publicznych bez zasłon na twarzy. Jednakże stopniowo nabywają one coraz więcej praw w tym pustynnym królestwie i wydaje się, że musi nadejść taki dzień, kiedy ich talent zostanie właściwie wykorzystany. Zależy to od tego, czy Arabia Saudyjska zdoła wykorzystać bogactwo naftowe bez pokładania nadmiernego zaufania w obcokrajowcach.

U PRZYJACIÓŁ

☆ ★ ☆

Co minutę radzieckie zakłady poligraficzne przekazują 33 tys. książek i broszur; codziennie — ok. 5 milionów, w ciągu roku — przeszło 1.700 mln. Łącznie w latach władzy radzieckiej ukazało się przeszło 46 miliardów egzemplarzy książek, których autorzy pochodzą z 136 krajów. Pod koniec ubiegłego roku zakończono edycję unikatowej 200-tomowej „Biblioteki literatury światowej" której łączny nakład osiągnął 60 mln egz. Zgodnie ze statystyką UNESCO, Związek Radziecki od dawna zajmuje pierwsze miejsce w świecie pod względem liczby wydanych książek — pisze współpracownik AP „Nowosti" — Piotr Tataurow.

Mimo tych imponujących liczb popyt na książkę jest ogromny i przewyższa ofertę istniejących 200 wydawnictw, które — dodać należy — z każdym rokiem zwiększają liczbę publikowanych pozycji i ich nakłady.

Na każdego obywatela przypada dziś w ZSRR 7 ukazujących się w ciągu roku książek. 97 proc. rodzin ma biblioteki domowe. Jak wykazują badania, 79 proc. czytelników w wieku do 18 lat codziennie czyta książki 1—2 i więcej godzin, tyleż czasu poświęca lekturze grupa wieku 19—25-latków, 67 proc. — osoby 26—35-letnie, 62 proc. — 35—50-letnie i 71 proc. — mający powyżej 50 lat. Większość młodzieży radzieckiej poniżej 18 lat daje pierwszeństwo książce — przed oglądaniem telewizji i czytaniem prasy.

I jeszcze jedno interesujące spostrzeżenie socjologów: wraz ze wzrostem wykształcenia zmniejsza się czas, jaki poświęca ankietowany na oglądanie programów telewizyjnych. Telewizja częściej traktowana jest jako rozrywka, natomiast książka jako źródło informacji w 6 przypadkach na 9 wysuwa się na pierwsze miejsce. Nic w tym dziwnego: w ZSRR 94 mln osób, a więc jedna trzecia ogółu mieszkańców, uczy się i książka jest im niezbędna.

Czy dla wszystkich jednak jej starcza? Jak już stwierdziliśmy popyt przewyższa oferte wydawców i księgarzy. Nie każdy może jeszcze kupić interesującą go pozycje wydawniczą. Pomoca służy tu sieć bibliotek. Przeszło 200 mln radzieckich obywateli korzysta z usług 350 tys. bibliotek w całym kraju.

— Życie często koryguje nasze przewidywania i prognozy — mówi przewodniczący Państwowego Komitetu do spraw Wydawnictw ZSRR Borys Stukalin. — Cześć wolnego czasu każdy z nas przeznacza oczywiście na oglądanie telewizji. Ale przecież i czasu wolnego mamy dziś więcej niż poprzednio. Tak więc ci, którzy czytali, będą czytać nie mniej niż dotychczas. Potwierdza to statystyka. W okresie ostatnich 25 lat telewizor znalazł się niemal w każdym domu, a jednak zainteresowanie książka nie zmniejszyło się. Jej nakłady potroiły się. Książka nie straciła nic ze swej przodującej roli przede wszystkim w kształtowaniu charakterów i uczuć ludzkich.

Jeśli chodzi o oddziaływanie TV na zainteresowania czytelnicze, to z reguły obserwuje się ruń na utwory, których ekranizacja wyświetlana jest właśnie w telewizji. Działo się tak z „Sagą rodu Forsyte'ów", z „Nedznikami", z adaptacja powieści „Czerwone i czarne". Wszystko to raz jeszcze potwierdza wnioski radzieckich badaczy, że nowa technika „produkcji dóbr kultury" nie przekreśla osiągnięć przeszłości, a przeciwnie — dopełnia je. Centralna TV ZSRR nadaje w swych programach stałe cykle: „W księgarni", „Rozmowy o literaturze", „Wieczory poezji", „Stronice twórczości pisarzy", „Lektury", „Książka w twoim życiu" i inne.

☆ ★ ☆

Uczony z zakresu ochrony środowiska naturalnego człowieka, mający wielkie zasługi w ratowaniu rzadkich lub ginących okazów roślin i zwierząt — oto nowa kreacja Innokientija Smoktunowskiego, wysoko oceniona przez krytyków i potwierdzająca jeszcze raz wszechstronność talentu tego aktora.

Film, o którym mowa, oparty na scenariuszu Andrieja Bitowa, nosi tytuł „W czwartek i nigdy więcej" Rola ta jest wynikiem pierwszej współpracy, jaka nawiązały dwie wybitne indywidualności artystyczne: Smoktunowski i reżyser teatralny Anatolij Efros, który po dłuższej przerwie ponownie stanął za kamarą — Obsadzając główną role nie omyliłem się w wyborze aktora i jeśli można dziś mówić o walorach tego utworu, to główna w tym zasługa właśnie Smoktunowskiego — powiedział Efros. — Uważam, że talent tego artysty, jego umiejętności ukazania w całej pełni bogactwa duchowego kreowanej postaci pozwoliły na właściwe przekazanie widzom idei filmu.

— Udział w realizacji filmu Efrosa — stwierdza I. Smoktunowski — był moim głównym zadaniem w ostatnim okresie. Znany z energii i pracowitości artysta stworzył w tym czasie jednak jeszcze kilka innych kreacji, m. in. wcielając się w postać króla Hiszpanii Karola V w ekranizacji „Dyla Sowizdrzała". W odróżnieniu od wielu swych kolegów Smoktunowski chętnie przyjmuje propozycje reżyserów wystąpienia w ich filmach w rolach epizodycznych. Zwykł był mawiać: — nie ma małych ról, a są jedynie interesujące i mniej interesujące. Praktycznym potwierdzeniem tych słów jest jego udział w filmie Siergieja Bondarczuka „Step", w którym stworzył znakomitą sylwetkę gospodarza zajazdu.

Polityka ekonomiczna Sadata, tzw. polityka „otwartych drzwi", spowodowała gwałtowne pogorszenie warunków życia przytłaczającej większości społeczeństwa, przede wszystkim chłopów i robotników. Jej bezpośrednią konsekwencją jest zbliżenie z USA i, zdaniem wielu światłych Egipcjan, Sadat wszedł na drogę, która wprowadza kraj na orbitę amerykańskich satelitów...

EGIPT

MILIONY DLA SPEKULANTÓW

Ostatnimi laty, egipskie środki masowej informacji robią co mogą, żeby tylko uwolnić obecny rząd od odpowiedzialności za gwałtowny spadek poziomu życia mas pracujących, rozpaczliwą sytuację w ekonomice i finansach. Główną przyczynę wszystkich trudności i braków, oficjalna propaganda upatruje w „prowadzonej uprzednio polityce nacjonalizacji, rozszerzania i umacniania sektora państwowego oraz industrializacji ukierunkowanej na zapewnienie krajowi towarów własnej produkcji oraz zmniejszenia importu". Wśród innych argumentów wymienia się także ogromne wydatki i spustoszenia spowodowane wojną z Izraelem. Jednakże ani jeden egipski ekonomista nie wskazuje na wojnę z Izraelczykami jako na przyczynę obecnego kryzysu ekonomicznego. Wielu natomiast widzi ją w polityce „otwartych drzwi", w błędach i braku kompetencji egipskiej administracji, w ogólnonarodowej korupcji. Polityka Sadata, popierana przez elementy pasożytnicze i kompradorską burżuazję, pogłębiła trudności ekonomiczne, doprowadziła do wzrostu bezrobocia, do uzależnienia kraju od międzynarodowych monopoli. A oto fakty. W latach 1956—70, mimo strat poniesionych w wojnie z Izraelem i ogromnych wydatków na reorganizację armii, ceny w kraju nie drgnęły, nie zanotowano zjawisk kryzysowych. Od roku 1959 do 1964 narodowy dochód w kraju zwiększał się co roku o 6,6 procent. Poczynając od lat 70-tych ceny na towary pierwszej potrzeby, a głównie na produkty żywnościowe, nawet miejscowej produkcji, zaczęły gwałtownie rosnąć. W 1975 roku ceny podstawowych produktów żywnościowych wzrosły o 50 procent w porównaniu z cenami w roku 1972, a w roku 1976 — aż o 120 procent. Półtora raza wzrosła cena lekarstw, przejazdów transportem miejskim, usług telefonicznych, telegraficznych i pocztowych.

Na tle rosnącej nędzy szerokich mas, szczególnie rzuca się w oczy luksus i bogactwo nowej „klasy" pasożytniczej — ludzi gromadzących ogromne środki. Egipt ma dziś 500 milionerów... Przyjęte przez rząd ustawy w ramach realizacji ekonomicznej polityki „otwartych drzwi", stworzyły szerokie możliwości dla zawrotnego bogacenia się przeróżnych maklerów, pośredników, spekulantów, hochsztaplerów i częstokroć gangsterów, powiązanych z monopolistycznym kapitałem Zachodu. Zbliżona do kół rządowych kairska gazeta „Al—Ahram", cytując w numerze z 14 września 1976 roku wystąpienie zastępcy min. handlu rządu egipskiego, pisała: „Nowa warstwa bogaczy, silna i potężna, jest zwolniona od podatku dochodowego. Straciła rozsadek, oddając się histerii konsumpcyjnego stylu życia" Właśnie ta „klasa" nadaje ton zagranicznej i wewnętrznej polityce Egiptu. Zgodnie z oficjalną statystyką, najmniejszy dochód na głowę mieszkańca wynosi w Egipcie 17 funtów, podczas gdy w zamożnych warstwach społeczeństwa egipskiego sięga on 5 tysięcy funtów. Ale są też ludzie, których roczny dochód przewyższa milion funtów egipskich!

Sadat twierdzi, iż „otwierając drzwi Zachodowi, Egipt wkracza w nową epokę, epokę rozkwitu i szczęścia". Ale szczęście jakoś nie nadchodziło, natomiast trudności wciąż rosły. Jak podkreślono w sprawozdaniu Centralnego Banku Egiptu za rok 1975, rozliczenia płatnicze z krajami socjalistycznymi, włącznie z wpłatami corocznych kwot z tytułu długów za dostawy sprzętu wojskowego, wykazywały dla Egiptu dodatnie saldo w wysokości 88 mln funtów, podczas gdy deficyt bilansu płatniczego z krajami zachodnimi, w tym samym okresie czasu, wyniósł 648 mln funtów, nie licząc spłat długów w bankach międzynarodowych i prywatnych oraz innych zadłużeń. Lamenty Sadata, jakoby spadło na niego brzemię kolosalnych długów, będących następstwem polityki poprzednich rządów także nie odpowiadają prawdzie. Przecza temu dane Międzynarodowego Banku Rekonstrukcji i Rozwoju (MBRR), z których wynika, iż w roku finansowym 1972 zadłużenia Egiptu, włącznie z długami za dostawy broni, wynosiły 4 miliardy 11 mln dolarów, podczas gdy w 1976 roku sięgały już 11 miliardów 846 mln dolarów. W ciągu ostatnich czterech miesięcy 1976 roku suma zadłużeń, jak wynika to z oświadczenia wicepremiera Egiptu do spraw ekonomicznych, zwiększyła się o 15 miliardów dolarów!

Na co poszły te pieniądze? Bo kasa jest pusta. Różnie o tym mówią. Publicysta ekonomiczny bagdadzkiego dziennika „as—Sawra" podkreśla, iż nie widać ich w inwestycjach przewidzianych w planach ekonomicznego rozwoju kraju, ponieważ byłoby to widoczne w zwiększeniu się globalnego produktu narodowego i — co za tym idzie — polepszeniu bilansu płatniczego. A o tym nie ma mowy. Z pewnych danych wynika, że 40 procent tych pieniędzy utknęło w kieszeniach władących przedstawicieli elity władzy, pozostałe zaś poszły na finansowanie importu luksusowych towarów konsumpcyjnych. Znaczne środki pochłonęły reprezentacyjne wydatki obecnego reżimu. Na przykład wojaż Sadata do okupowanej Jerozolimy kosztował naród egipski 11 milionów dolarów. Jednym z instrumentów eksploatacji egipskich źródeł są banki krajów kapitalistycznych (jest ich teraz 20). Udzielono im prawa swobodnego wywozu swoich akumulacji za granice i do marca 1977 roku przelały one do banków USA i w Zachodniej Europie 160 milionów funtów egipskich. W związku z tym w sprawozdaniu Centralnego Banku Egiptu za rok ubiegły podkreślono m.in.: „Zamiast stać się ośrodkiem przyciągania do Egiptu zagranicznych kapitałów, amerykańskie i zachodnioeuropejskie banki przekształciły się w ośrodku wysysania ich z kraju...". Co więcej, zagraniczne banki cieszą się szczególnym zaufaniem egipskich nuworiszów: w marcu ub. roku wkłady tylko 17 spośród tych bogaczy wyniosły 17 milionów funtów.

W postępowych kołach Egiptu mówi się otwarcie, iż przyczyna rozpaczliwej sytuacji egipskiej ekonomiki i finansów są: grabież, marnotrawstwo i korupcja. Reżim Sadata próbuje poprawić sytuację, uzyskując wciąż nowe kredyty zagraniczne, a nie droga rozwoju własnych sił wytwórczych. Żeby rozliczyć się z wcześniej już zaciągniętych pożyczek, zabiega o nowe, krótkoterminowe, kredyty na iście lichwiarskich warunkach: 19—20 procent. Brzemię tych olbrzymich długów zmusza kraj do pełnej zależności od woli wierzycieli, którzy z dnia na dzień rozszerzają kontrolę nad Egiptem. Przykład: Międzynarodowy Bank Rekonstrukcji i Rozwoju zawarł z Kompanią Kanału Sueskiego umowę w sprawie udzielenia jej kredytu w wysokości 50 mln dolarów. Kredyt obwarowano następującymi warunkami: wszyscy specjaliści i pracownicy finansowi Kompanii powinni być mianowani za zgodą banku; administracja Kompanii zobowiązuje się do współpracy z przedstawicielami banku w wykonywaniu kontroli nad całą jej działalnością, nad całym majątkiem ruchomym i nieruchomym; bank co roku przeprowadza rewizję finansowych sprawozdań Kompanii; na każde żądanie banku należy przedstawić niezbędną dokumentację finansową i informację; bez zgody banku Kompania nie może otrzymywać kredytów z innych źródeł. Gwarantem tego porozumienia jest rząd Egiptu, który w razie potrzeby zobowiązuje się zrekompensować bankowi wszystkie długi i procenty...

Kompanię Kanału Sueskiego znacjonalizował rząd egipski w 1956 roku. W tym też czasie prezydent Nasser odrzucił propozycje mocarstw zachodnich o podporządkowanie Kompani Kanału administracji międzynarodowej i kraje imperialistyczne rozpętały wtedy agresję przeciwko Egiptowi chcąc go zmusić do „przyjęcia propozycji". Obecnie rząd Sadata bez sprzeciwu oddał Kompanię pod zarząd „międzynarodowej administracji" a ściśle mówiąc: „Międzynarodowego Banku Rozwoju i Rekonstrukcji...

Dodajmy na koniec, że miliardowych kredytów udzieliła Egiptowi Arabia Saudyjska, która finansuje zbrojeniowy program rządu Sadata, w ten prosty sposób przygotowując sobie armię, zdolną walczyć do ostatniej kropli krwi egipskiej w imię saudyjskich interesów.

JERZY CZECH

KOSMICZNY STYCZEŃ KRAJU RAD

Kosmiczna wyprawa radzieckich astronautów wciąż znajduje się w centrum uwagi światowej opinii publicznej. Gazety i magazyny różnych krajów szeroko komentują pracę kosmonautów Kraju Rad na pierwszym w historii, pilotowanym orbitalnym zespole naukowo-badawczym. Oto, co piszą na ten temat amerykańscy komentatorzy naukowi:

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE"

„Zachodni specjaliści są absolutnie zgodni co do tego, iż ostatnie osiągnięcie ZSRR jest ogromnym krokiem w przód w radzieckim programie kosmicznym, udowadnia bowiem możliwość zapewnienia dłuższej nieprzerwanej pracy ludzi na stacjach orbitalnych. Jednym z głównych celów obecnego lotu radzieckiego laboratorium orbitalnego jest, bez wątpienia, badanie następstw długotrwałego przebywania człowieka w warunkach nieważkości. Wygląda na to, iż stacje typu „Salut" są zdolne do zapewnienia załodze sił życiowych, pod warunkiem wszakże regularnego uzupełniania zapasów pokładowych (np. przy pomocy statków transportowych typu „Progress" — przy. red.)

Pierwsza taka transportowa misie wykonano pomyślnie. Jest godne uwagi, iż dzień przed tym na okołoziemskich orbitach pojawiło się dziewięć nowych radzieckich sputników, przy czym osiem wprowadzono na orbity przy pomocy jednej rakiety nośnej. Łącznie, od momentu wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity Ziemi w dniu 4 października 1957 roku, radzieccy uczeni „wyrzucili" w Kosmos około tysiąca aparatów, co — zdaniem zachodnich specjalistów — jest wybitnym osiągnięciem naukowo-technicznym. I oto nowy sukces: wielostronne połączenie. Zrobiono wielki krok na drodze długotrwałego przebywania człowieka w Kosmosie, na drodze bardziej ścisłego i precyzyjnego zbadania z orbity zarówno naszej Ziemi, jak i otaczającej nas przestrzeni. I znów pierwszy uczynił to Związek Radziecki".

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR"

„Rosjanie widzą w wystrzeliwaniu stacji orbitalnych z wymienianymi załogami możliwość pomyślnego opanowania Kosmosu przez człowieka. Przewiduja skonstruowanie o wiele większych stacji, złożonych z komór, samodzielnie wystrzeliwanych w Kosmos, z załogami składającymi się z 12—20 ludzi. Te stałe stacje, co ma niezmiernie ważne znaczenie dla wszystkich mieszkańców naszej niewielkiej planety, będą sprzyjać tworzeniu nowych mechanizmów, urządzeń przekaźnikowych energii elektrycznej i w ogóle podstaw dla nowej rewolucji przemysłowej w warunkach nieważkości w Kosmosie.

Amerykański „członkowy" statek kosmiczny, przystosowany do odbywania lotów do orbitalnych stacji kosmicznych i powracania na Ziemię, doskonale by się nadawał do wykorzystania go w parze ze stacjami „Salut", obliczonymi na długi żywot w Kosmosie, mógłby być niezastąpiony przy budowaniu orbitalnych laboratoriów. Jednakże Stany Zjednoczone osiągnęły zaledwie ograniczony postęp w konstruowaniu laboratoriów kosmicznych od czasu przeprowadzenia, w latach 1973—1974, swego programu „Skylab".

Mamy nadzieję, iż międzynarodowa współpraca będzie się rozwijać i rozszerzać, i zastąpi byle współzawodnictwo w Kosmosie. Niemniej jak w samą porę przypomniało nam wystrzelenie radzieckiego zespołu kosmicznego, nie należy zapominać, iż może nadejść taki dzień, kiedy ani jeden kraj przemysłowy nie będzie zdolny do konkurowania z innym, bez dostępu w Kosmos. Rosjanie zupełnie wyraźnie są przygotowani do spotkania tego dnia w pełnej „zbroi".

(C)

AKTYWNOŚĆ PEKINU
„PAKT PILNEJ KONIECZNOŚCI"
POTWIERDZENIE ZWROTU

Dawno w przeglądach sytuacji międzynarodowej nie wędrowaliśmy na Daleki Wschód. **Chiny** po rozprawie z „czteroosobowa banda" **zeszły na pewien czas z pola widzenia komentatorów. Teraz powracają,** gdyż nastąpiło znaczne ożywienie chińskiej działalności dyplomatycznej. Minister handlu zagranicznego odwiedził Wielka Brytanie i Francję, wdowa po b premierze Czou En-laju przebywała w Kambodży, niedawno przywrócony do łask wicepremier Teng Siao-ping składał wizyty w Birmie i Nepalu, a w Brukseli rozpoczęły się rozmowy między przedstawicielami Chin i EWG. A więc cała seria działań, wskazujących, że po umocnieniu sytuacji wewnętrznej **kierownictwo pekińskie zaczyna zabiegać o szersze kontakty międzynarodowe.** Z krajami azjatyckimi, ale także z państwami zachodniej Europy

Stojąc wciąż na pozycjach antyradzieckich **maoiści próbują zmontować jednolity front przeciwko większości krajów socjalistycznych, a przede wszystkim ZSRR,** szermując hasłami „zagrożenia". Czym interesują się na Zachodzie? Sprzętem wojskowym i strategicznym — np. angielskim nowym myśliwcem, czy też francuskimi osiągnięciami w dziedzinie badań nuklearnych. Nie ukrywają tych zainteresowań, mówią dość wyraźnie, że chcieliby zapewnić sobie dostęp do arsenałów NATO. Zresztą fakt, że ponad 40 proc. budżetu w Chinach przeznacza się obecnie na wydatki wojskowe musi w określony sposób determinować działalność w polityce zagranicznej i handlowej.

W ostatnim okresie otrzymaliśmy więc nowe potwierdzenie, jakie są cele polityczne Pekinu — **zakłócanie odprężenia, powodowanie napięcia, przygotowywanie się do trzeciej wojny światowej, której „nieuchronność" głosza maoiści.**

Niestety, są na Zachodzie koła, które z myślą o własnych korzyściach, chcą grać chińską kartą. Są to oczywiście siły dobrze nam znane — przeciwstawiające się idei i zasadom Helsinek.

Z wydarzeń europejskich wciąż na jedno z czołowych miejsc wysuwa się **sytuacja we Włoszech.**

Co przyniósł ostatni tydzień?

Druga rundę konsultacji Andreottiego z przywódcami innych partii, której celem jest znalezienie formuły powołania nowego rządu, **Włoska Partia Komunistyczna,** jak wynika z doniesień z Rzymu, podtrzymując że jedynym rozsądnym rozwiązaniem może być tylko powołanie rządu jedności demokratycznej, uczyniła pewien krok, **proponując „pakt pilnej konieczności".** Pakt taki byłby oparty na uzgodnionym programie, wyrażałby współodpowiedzialność uczestniczących w nim partii i byłby wsparty utworzeniem „niedwuznacznej i uznanej większości parlamentarnej". Inaczej mówiąc chodzi o pewna formę „przyłączenia" komunistów do większości rządowej.

Pisze się, że **w tej fazie konsultacji Andreotti wykazuje dość duża elastyczność.** Zgodził się już podobno na postulat WłPK znacznego ograniczenia stanowisk ministerialnych w nowym gabinecie oraz na utworzenie organu koordynującego działalność rządowa w dziedzinie gospodarki i porządku publicznego. To wszystko wnosi do korespondencji ze stolicy Włoch pewna dozę optymizmu, choć nikt nie twierdzi, że zakończenie kryzysu może nastąpić szybko.

Skoro o rządowych kłopotach mowa — **skomentujmy krótko powołanie dwupartyjnego gabinetu w Portugalii.** Jak to już wyjaśnialiśmy, socjaliści zawarli pewien pakt z chrześcijańskim Centrum Demokratyczno-Społecznym, w rezultacie którego podzielili się tekami ministerialnymi. **Faktycznie oznacza to skłon na prawo.**

Przed kilku dniami premier Soares wystąpił przed parlamentem z ekspose rządowym. Wprowadzenie chadeckiego Centrum do rządu uzasadnił koniecznością przezwyciężenia kryzysu ekonomiczno-finansowego. Podkreślając, że przy obecnym układzie sił wewnętrznych i koniunkturze międzynarodowej „jedynie utopiści" mogą myśleć o „posunięciu się Portugalii w kierunku socjalizmu" z pasia uzasadniał znaczenie prywatnej inicjatywy i inwestycji zagranicznych. Przy ich pomocy obiecywał zredukowanie inflacji do około 20 rocznie oraz walkę z bezrobociem.

Wprawdzie nowy gabinet dysponuje w parlamencie większością 143 głosów (na 263) **niewielu obserwatorów życia w Portugalii rokuje mu dłuższy żywot.** Komuniści od początku sprzeciwiali się wejściu do rządu ministrów chadeckich, uważając, że ten zwrot wymierzony będzie w interesy ludzi pracy. Socjaldemokraci podkreślają że w takim sojuszu nie będzie możliwe rozwiązanie obecnych problemów kraju.

W komunikacie po posiedzeniu KC PPK ostro skrytykowało rząd i jego program, podkreślając jednocześnie, że komuniści nie przyjmą postawy globalnej negacji posunięć nowego gabinetu będą jednak zdecydowanie występować przeciwko wszystkiemu, co sprzeczne jest z interesami ludzi pracy i niepodległą przyszłością kraju.

W. SŁAWSKI

Spełnione oczekiwania

W Krynicy Morskiej czkają na wiatr bojerowcy, aby móc rozegrać kolejne mistrzostwa świata. Nasi narciarze wreszcie odnieśli sukcesy. Wprawdzie na Uniwersjadzie, przy nie najsilniejszych konkurentach, ale zawsze. Pocieszyć się można. W Neapolu piłkarze Włoch i Francji zremisowali w nie najlepszym stylu. Z USA powrócił Janusz Peciak, ale to wszystko razem w ubiegłym tygodniu przysłoniły inne dwa wydarzenia, które wprawdzie nie rozegrały się ani na trasie zjazdowej, ani na skoczni, ani na lodowisku, ani w krytej hali, a po prostu w sali kinowej CRZZ, gdzie obradowała Polska Federacja Sportu.

Niektórzy sprawozdawcy z czystej galanterii dla pań na plan pierwszy wysunęli sprawy sportu wśród kobiet i donieśli o postanowieniu, jakie podjęła PFS, aby od 8 marca 1978 roku do 8 marca 1979 roku ogłosić ROK SPORTU KOBIET. Na drugim miejscu dopiero donieśli o uchwaleniu KARTY PRAW I OBOWIĄZKÓW SPORTOWCA. Ja z galanterii wobec dam czuję się zwolniona, więc mogę bez obaw zatrzymać się na sprawie ważniejszej i istotniejszej — na Karcie Praw i Obowiązków Sportowca.

Przy pierwszej lekturze może się wydawać, że Karta ta nie wnosi nic nowego, a jedynie porządkuje pewne sprawy. Ale tak nie jest. Karta daje zawodnikowi prawo uczestniczenia w pracach klubu, może on być wybierany do władz klubowych. Znosi tym samym granicę odpowiedzialności między działaczami, a zawodnikami, nakładając jednocześnie tę odpowiedzialność na jednych i drugich. Sport w klubie staje się teraz wspólną sprawą i zawodników i działaczy.

Może się to komuś wydawać mało istotne. W końcu zadaniem działacza jest tworzyć warunki dla uprawiania sportu, a zadaniem zawodnika wykorzystywać te warunki w taki sposób, aby mógł on osiągać jak najlepsze wyniki. To niewątpliwa prawda. Ale spotkałem się niedawno z narzekaniem na to, że ubywa starych, doświadczonych działaczy sportowych, a dopływu nowych nie ma. Kiedyś to było tak, że zawodnik kończąc karierę stawał się, jeśli nie trenerem, to niewątpliwie działaczem. Dziś natomiast nawet najbardziej związani z klubem zawodnicy, po ukończeniu kariery sportowej znikają niekiedy na zawsze ze sportowego życia, zrywają z klubem wszelkie kontakty. Ustanowienie wspólnej odpowiedzialności za sprawy klubu może ten stan rzeczy zmienić.

Karta Praw i Obowiązków Sportowca reguluje również zasady wspomagania finansowego zawodników. Niektóre sprawy postawiono jasno. Czy to przyczyni się do ukrócenia powszechnie znanych praktyk, o których wszyscy wiedzą, ale nikt głośno nie mówi? Nie wiem. Wiem natomiast, że dopóki jasno i wyraźnie nie określi się sposobów finansowania klubów sportowych, dopóki będą one skazane na samodzielne szukanie funduszy, dopóty sprawy te będą rozwiązane częściowo. A przecież nie o to chodzi.

W Karcie Praw i Obowiązków Sportowca wyraźnie określono, jakim karom może podlegać zawodnik. To też porządkuje niektóre sprawy, aczkolwiek trzeba pamiętać, że Karta określa zasady i kierunki działania, a poszczególne związki muszą opracować szczegółowe przepisy, biorące pod uwagę swoją specyfikę. Karta wyraźnie określa, że prawo interpretacji posiada jedynie Zarząd Polskiej Federacji Sportu. Zarząd też będzie kontrolował realizację postanowień Karty.

Drugim ważnym wydarzeniem w sporcie, choć nie rozgrywającym się na boisku, było zwrócenie uwagi, że wśród sportowców mało jest kobiet. Według danych GUS z końca 1976 roku wśród sportowców jest ok. 20 proc. kobiet. To stanowczo mało. Ale to stwierdzenie nie bierze się z naszej kobiecej ambicji, jedynie ze zrozumienia roli i znaczenia sportu w życiu współczesnego człowieka. Rozumiem doskonale, że są dziedziny sportu, w których kobiety niewiele mają do powiedzenia lub wcale. Ale są dziedziny, gdzie nic nie stoi na przeszkodzie, aby było w nich pełno dziewcząt.

Przyczyn trzeba chyba szukać w fakcie, że mało jest kobiet wśród działaczy sportowych, wśród trenerów. Nie zawsze najlepszy trener może sobie poradzić z dziewczętami, które jednak trzeba traktować trochę inaczej niż chłopców. Na przykład wśród blisko 700 działaczy kierujących różnymi związkami sportowymi jest tylko 13 kobiet. A ile kobiet zajmuje się trenerką?

Zwrócenie uwagi przez FSP na ten problem ma wielką wagę, ale też skutki tego zależeć będą nie od mechanicznego kierowania kobiet do działania w związkach i klubach, a od stworzenia takich warunków, aby kobiety interesujące się sportem, pragnące w sporcie działać, mające sportowe uzdolnienia zechciały do tego sportu przyjść i poczuły się w sporcie dobrze.

Pamiętajmy bowiem, że „uczestnictwo w ruchu sportowym — jak stwierdza Karta — jest wynikiem dobrowolnej decyzji".

BOGDA MADEJ

Tutaj panuje wszechwładnie JKM Chmiel! Jego „królestwo" to nieduża klitka o powierzchni paru metrów kwadratowych, od frontu starej czynszowej kamienicy. Parter, wejście wprost z ulicy. Nad mocno rozchwierutanymi drzwiami, na spróchniałym tynku smętnieje rdzawostrupiasty blaszak: „Pij..nia pi.a". Na okopciałej szybie zakratowanego okna czerwienieje numer — nieważne jaki. Ostatnio piwiarnie mają numery, zupełnie niczym tramwaje. Po co? Ano, przynajmniej wiadomo jaka trasa, jaki kurs. A jakby się kto przypadkiem ululał na miękko, to w razie czego łatwiej przecież zapamiętać numer niż jakiś tam adres.

ZBIGNIEW S. NOWAK

PATENT NA WYSZYNK

Wnętrze „lokalu" normalne, przeciętnie typowe — przepisowo brudne, zakopcone brunatnie, zasmrodzone zgodnie z normą. Upstrzona „petami", gęsto zasmarkana posadzka. Nijakiej barwy ściany, całe w mokrych liszajach. W kątach czai się grzybica. Z rozpuchłego od zakisłej wilgoci sufitu zwisa obcętkowana przez muchy żarówka w kagańcu—druciaku, nawet trochę świeci. Wokół ścian, półtora metra nad podłogą, jeżą się zadrowato prawie barowe dechy—podłokietniki, wyszmodrane lepko zastarzałym, zagnojonym brudem.

Na wprost wejścia, pod przeciwległą ścianą, szeroko rozpiera się okuty cynkowaną blachą bufet—kontuar, z piwnym spustem, poczerniałym zlewem od mycia kufli i hydrantem—pluczką. Bufetowy blat gnie się pod stertą gruboszklanych „kwaterek" i „literków". Obok, aż nie chce się wierzyć, bieleje szarawo chłodnicza szafa — w niej rzadkim rzedem rozłożone „zagrychy", czyli tzw. konsumpcja. Rzecz to w piwiarni niebywała!

Ale bez przesady — tutaj panuje wszechwładnie i wyłącznie JKM Chmiel. Cała reszta „jadalnego wystroju" lokalu to tylko mało ważne atrapy. Jak bowiem inaczej nazwać wielotygodniową kanapkę z serkiem? Albo czy może tu się liczyć czerniejący za chłodniczą szybką karp co prawda królewski i z cebulką, ale zmarniały doszczętnie przez utopienie w czymś, co jeszcze przed miesiącem było tzw. galaretką? Niiak nie może! Tu niepodzielnie króluje piwko. I słusznie zresztą, bo to jedyna „specjalność lokalu" nadająca się jako tako do konsumpcji. Cała bowiem reszta „dań" jest nie tyle jadalna, co raczej jadowita, o co z pewnością można posądzać pokurczone w lodówce kiełbaski, pamiętające chyba jeszcze poprzedniego ajenta piwiarni. Ich wiośniane kolorki wabią oko, ale żołądka nie skusza.

W tym momencie wyłania się pewien problem. Otóż mianowicie zapobiegliwy „na wyrost" ajent wywiesił ponad bufetem groźny napis: **„Piwo podaje się wyłącznie do konsumpcji".** Jak więc egzekwowany jest ów restrykt, skoro brak tu czegokolwiek „na ząb", jako że tego świństwa z nieczynnej chłodziarki nikt nie ruszy? Ano tak: w charakterze piwa występuje jedno piwko, natomiast w roli konsumpcji — drugie, czyli „podpórka". Tak więc wszystko jest jak należy, w całkowitej zgodzie z przepisami.

„Paragrafową ciekawostką" lokalu jest także inne obwieszczenie: **„Piwo podaje się od lat 18".** Już na pierwszy rzut oka nie bardzo chce się w to wierzyć, jako że rozkołysanych chmielnie małolatów można tu liczyć na tuziny. Rzecz wszakże wyjaśnia się całkowicie, jeśli zważyć, że piwiarnia funkcjonuje właśnie już od 18 lat. Taka to ci więc reklama— — kalambur, dowcipna jak u starego „Maxima", tyle że lokal cokolwiek inny...

Tutaj bowiem panuje wszechwładnie JKM Chmiel. Tutaj przez dzień cały ciągną tłumnie wierne rzesze jego poddanych — wyznawcy i dozgonni czciciele pogańskiego kultu Ochłapusa Tu jest ich raj. Tu jest królestwo niebieskie wszelkich ptaszków tej samej maści, jedyne miejsce na ziemi godne ich knajacko-pijackiej uwagi. Tu się pije — tu się żyje! Jak w tym ulicznym przesłonsgu: „O wszystkich troskach zapomnisz, przyjacielu, kiedy pociągniesz sobie zdrowo chmielu...".

Od rana do wieczora wiruje wariacki, chmielny młyn. Od rana do wieczora kręci się to obłędne koło: „Pić, aby żyć — żyć, aby pić!". Nie zatrzyma go nic ani nikt. No, chyba że sam „szefunio", znaczy się — ajent, barman i kierownik lokalu jednocześnie. Niby taki jeden w trzech osobach. Cóż, ponad każdym królem jest jakiś bóg. Jemu wszystko wolno, nawet zamknąć niespodzianie „browar" i wykopsać „niedopitków" na zbitą mordę, na bruk. Nic to jednak — wszak rankiem następnego dnia znów szczeknie „na odwyrtkę" pudowa kłódka, opadną z brzękiem ciężkie skoble i znów się otworzą bramy raju. Aby do rana...

STONOGA I RESZTA

Najpierwszy zawsze przychodzi Stonoga. Wołają go tak od czasu, kiedy tramwaj obciął mu jedną gicolę, tak że została mu tylko ta druga. A że na „singlu" nie ma się takich chodów jak na „dwójce", nawet o kulach, dlatego właśnie Stonoga przychodzi najwcześniej, by zająć sobie wygodne miejsce na starej beczce tuż obok kontuaru, u zdroju jasnego. Siedzi tam przez cały dzień, pomijając dyżury na żebrach przed „Uniwersalem", na „Hali" czy koło „Katedry"; kiedyś przecie pracować musi. Ale dzisiaj ma pełną kieszeń miedzi i niklu — wystarczy chyba do samiuśkiego wieczora.

— No, to bombę raz, szefie! Ino bez piany...
— Się robi... — barman obciąga na obwisłym bańdziochu sterany długą służbą niegdyś biały kitel i bierze się do robo-

Foto: W. Parys

ty. Gracko płucze kufel, nabierając przy okazji pół kwaterki mętnej wody, potem podstawia go pod ciemną strugę jasnego. Leje zgrabnie bez pianki, ale woda i tak mu „nadbije urobek" nie ma obawy.

Stonoga „bierze miarę" na dwa łyki, pomlaskuje.

— Cholera, szczyny, nie piwo... — mruczy ze złością, ale „szef" już nie zwraca na niego uwagi, nie ma czasu.

Lokal szybko wypełnia klientela. Wchodzi paczka Grubego, piątka „garów" spod wiaduktu, Rudy z Kosławcem, chudy Pieprzyk, rozczochrany Szczota, długi Papaj, ospowaty Durszlak, zezowaty jąkała Duda, wysmolony węglarz Krostek, parę znajomych szyneli z pobliskiej zajezdni, ale już po szychcie, czerwony na tłustym pysku straganiarz Brudas — sami swoi, zgrana zgraja. Potem dociąga jeszcze kilku chłopków z niedalekiego targowiska, paru szczeniaczków—wagarowiczów, jakiś obcy zabłąkany tutaj przypadkiem. Robi się tłum, powietrze gęstnieje od potu, „sportów" i kwaśnego odoru piwnych fermentów. Barman dwoi się i troi, a rąk ma chyba ze dwadzieścia, kiedy tak żongluje kuflami śród gwarnej, niecierpliwej hałastry. Normalny człowiek dawno by już padł, ale on nie.

Potężny, masywny, zażywny w sobie pracuje jak maszyna. Czas to pieniądz! Tylko wyłysiałe czoło barmana rosi się obficie; często gęsto ciężkie od znoju krople pluskają w napełniane właśnie kufle, rozbryzgując nastroszoną pianę. Kto by tam jednak zwracał uwagę na taki drobiazg. Ruchliwa kolejka czekających, splatana jak skręt kiszek, napęczniała do granic wytrzymałości ścian piwiarni, napiera ostro, popędza. Prędzej, prędzej! Wiadomo, od rana susz. Na to nie ma innego sposobu, tylko przepłukać. Aby prędzej! Tak jest aż do południa — normalny kocioł.

Dopiero w porze obiadowej robi się trochę luzu, można nieco odetchnąć. Barman myje ręce, wystrzępioną ścierką przeciera zziajaną twarz, spod lady wyciąga wałówkę. Czas coś przekąsić. W lokalu zostało tylko paru „konsumentów" — już obsłużeni i nie przeszkadzają.

Tylko Rudy mlaska w kącie, co może popsuć apetyt. Rudy jest właściwie łysy całkiem; z jego ognistej niegdyś czupryny pozostała dziś tylko nazwa. Ale do nazw ludzie jakoś dziwnie się przyzwyczajają. Rudy właśnie pompuje w siebie chyba już dziesiątkę bombę z pianką. Jak u licha wytrzymuje to jego pęcherz? Hm, nie bardzo.... Ciemna smuga snuje się po brudnej nogawce, brunatnieje na podłodze w rozlewistą plamę.

Tego widoku przeżuwający barman nie wytrzymuje — zachłystuje się nagle, purpurowieje, po czym „puszcza pawia" w dopiero co umyte kufle. Rudego to nie porusza ani trochę, dla niego to nie pierwszyzna. Ale barman, nieco już oprzytomniały, wyskakuje gwałtownie zza kontuaru w niedwuznacznych zamiarach.

— Ty skurwysynu! Jak ci przy...

Rudy zmiata jak oparzony, bo „szefunio" ma cholernie ciężką rękę, można nielicho oberwać. Reszta klienteli także się wynosi chyłkiem. Coś za gęsta atmosfera, faktycznie nie idzie tego wytrzymać. Rozwścieczony barman zostaje sam, z hukiem zatrzaskuje drzwi. Musi przecież posprzątać lokal. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy zbiera się do porządków. Podłącza do hydrantu gruby szlauch — woda najlepiej to załatwi. Jeszcze tylko odsuwa spod ścian puste beczki i odkręca kran. Spłoszone nagle karaluchy—alkoholiki rozbiegają się rojnie do swoich kryjówek. Na czas niespodziewanej czystki także i one rezygnują z apetycznego piwka. Ale przecie nie na długo. Wieczorem wyjdą znowu, to sobie odbiją z nawiązką.

CZWARTA FAZA

To określenie wymyślił kiedyś Kabel, z zawodu elektryk. Jak wiadomo, elektryka ma cztery fazy, a właściwie trzy, bo ta czwarta to jest zero, albo inaczej tzw. ziemia. Podobnie rzecz się ma z gościem, który się puszcza w słodowe tango. Kabel na przykład po pierwszych pięciu „pełnych" był na fazie, na jednej fazie. Na trzy potrzeba mu było co najmniej dziesięć kufli. Po kilku następnych wchodził w czwartą fazę, a właściwie spadał. Na ziemię. Wtedy już nie był gość, tylko zero. Przed rokiem Kabel poszedł na fuchę; w nowej willi zakładał elektrykę. Przy robocie zawsze odświeżał móżdżek paroma jasnymi, żeby się jaśniej myślało, tak też było i wtedy. Ale kiedy do trzech faz chmielowych dołączyło się parę elektrycznych, Kabel na zawsze wszedł w ostatnią fazę. Nie wiadomo, czy akurat w czwartą, w każdym razie do ziemi. Dziś pozostało po nim tylko wspomnienie, no i ta nazwa — „czwarta faza".

Tutaj wszyscy tak właśnie piją, zwłaszcza wieczorkiem. Do roboty nie ma co się spieszyć, a przez noc można jakoś się odespać. Nikt więc sobie nie żałuje, póki jeszcze może i ma czym zapłacić. Właśnie, skąd by tu złapać trochę mamony?

Dla Pieprzyka na przykład to żaden problem. On stary fachman, pracuje na tramwajach i autobusach miejskich. W tłoku, kiedy mieszczuchy włażą sobie na plecy, przepychając się od wejścia do wyjścia, on pcha się ze wszystkimi. Po drodze zawsze wyskubnie jakiś pularesik i parę innych drobiazgów. Potem tylko szybka zmiana „komunikatora" i następna rundka. Przez dzień uzbiera się trochę walorów. Na życie wystarczy, na chmiel też.

„Gary" po nocach obrabiają piwnice w nowych osiedlach. W takim wielkim bloku to ludzie tuż po przeprowadzce jeszcze zupełnie się nie znają, więc nikt nie zwraca na nich uwagi. Buszują swobodnie. Zamki słabiutkie, a piwnice pełne różnego rodzaju dobra, które jeszcze nie znalazło miejsca w nowym mieszkaniu. Później tylko upycha się towar Kosławcowi, a ten płaci nie najgorzej, choć trefne.

Brudas robi ciężki interes na badylach. Właściwie to on tylko kombinuje „zielonkę" od różnych chłopków z okolicy, a handluje jego ślubna, rozłożysta Baryła. Ale żyją w zgodzie, choć Brudas to moczymorda, więc interes kwitnie pięknie.

Szczota stróżuje na budowach. Z dopiero co wyrychtowanych bloków rwie armaturę i inne wyposażenie. Wszystko to zabiera potem Durszlak, który jest zawołanym ślusarzem, hydraulikiem i w ogóle ma złote ręce. Durszlak zakłada prywatnie w tych samych blokach skradzione przez Szczotę krany, baterie, zamki i inne żelastwo, oczywiście za ciężkie pieniądze. Tak we dwójkę prowadzą ten geszeft już od lat i dobrze im się powodzi.

Inni też jakoś sobie radzą. Najwidoczniej nieźle, skoro zawsze im starczy przynajmniej na trzy fazy. Piją więc, trochę przez pamięć dla uzienionego na zawsze Kabla, więcej dla własnej przyjemności. Wolno im, przecie zarabiają na to.

Od rana do wieczora wiruje wariacki, chmielny młyn. Od rana do wieczora kręci się obłędne koło: „Pić, aby żyć — żyć, aby pić!". Zwłaszcza wieczorem nabiera szaleńczego pędu, kiedy wszyscy prawie są już na trzech fazach. Kolej na czwartą! Świat się kręci, świat się śmieje...
— Polej, barman!
Barman leje...

PRANIE SUMIENIA

Z trudem przepycham się do kontuaru, na plecach przez niemiły dreszczyk czuję spojrzenia stałych bywalców. Nie lubią tu obcych, zwłaszcza późnym wieczorem, bo nigdy nie wiadomo, kto też może się napatoczyć i jakie mogą z tego wyniknąć komplikacje. A kto kocha kłopoty? Nikt! Ja też. Przez chwilę zastanawiam się, czy wyjdę stąd cały i o własnych siłach.

— Ej, koleś...
Czuję, jak cierpnie mi skóra, sztywnieją nogi. Krewa.
— Odpieprz się! — ktoś basuje nagle. To Gruby. Kiedyś w „Kolejowej" użyczyłem mu „zeta" na telefon, okazuje się, że zapamiętał przysługę.
— A ty co tu? — wyciąga brudną, olbrzymią łapę.

— Taka jedna wypuściła mnie na lipny adres, to przyskoczyłem to przepłukać — tłumaczę się cienko.

Śmiech naokoło. Chichoczą, że trafił mnie taki niefart, ale już jest dobrze. Tylko jak wypić to cholerne piwsko? Hm, jak się dużo gada, to się mało pije. Porozmawiam z „szefuniem", akurat mało zajęty.

— Fajne tu obrazki — zaczynam ostrożnie — można by jakiś film nakręcić, albo coś machnąć do gazety...
— Do gazety? — barman oczekuje na mnie badawczo. — A co tu ciekawego, samo dziadostwo — na rozlanej twarzy widać zmęczenie, brak chęci do pogaduszki.
— Faktycznie takiej meliny jeszcze nie widziałem.
Barman nagle jeży się cały.
— Meliny? Panie, co mnie pan tu gadki wstawiasz, jaka melina? U mnie wszystko legalnie! A klientów ja sobie nie wybieram, sami przychodzą.
— Na pewno, ale sam pan mówi, że dziadostwo...
— A jasne! Widzisz pan — pokazuje grubą szramę na czole — jak mnie kiedyś jeden skurwysyn kuflem zaprawił? Ja tu nie mam letkiego życia...
— No właśnie! Jakby tak to w gazecie opisać...
— Co mnie pan tu furt z gazetami wyjeżdżasz? A niechby nawet, to i co? Niech se piszą, ja się tam nie stracham — tłumaczy się nagle. — Gówno mnie mogą zrobić, podatki płacę regularnie, szwindli niejakich nie robię, a trza, to i posmaruje gdzie należy i już! Zawsze wyjdę na swoje, legalnie.

— Na to wygląda.

— Co wygląda, panie? Myślisz pan może, że to letka robota? No to patrz pan na ten reumatyzm — rozcapierza pokrzywione paluchy. — Cały dzień łapy we wodzie. Ja tu, panie, zdrowie tracę w tem bajzlu, a ta hołota też mnie nerw naszarpie dosyć.

— Ale w sumie przecież chyba się to opłaca i to nieźle. Inaczej by pan nie siedział w tym interesie. Przecież tu, nie przymierzając, jak u jakiej babki—meliniary...
Tego było ajentowi za wiele. Wytrzeszczył ślepia, podparł się pod boki, huknął z góry.

— Coś pan się mnie tak czepił? Jak się nie podoba, to spieprzaj pan stąd, ino migiem! Melinę, kurwa mać, sobie wynalazł! U mnie wszystko legalnie, ja na to płacę ciężkie podatki. Ludzi tu nie naganiam, same przychodzą, jakie chcą. A że dziadostwo się trafia... komu w życiorys nie zaglądam. U mnie klient to klient, każdy tak samo dobry, byle zapłacił. To co mnie pan tu robisz pranie sumienia? Mnie do meliniary porównywać! Ja tu nikogo pokątnie nie rozpijam, ja cudzym dzieciom chleba nie odbieram, jak meliniara. Jak mam zgodę na lokal, to znaczy, że wszystko jest jak należy.

— Niby tak — mówię cicho.

— To mnie pan z meliniara nie równaj! Fakt, że ona handluje i ja handluję. Tam piją i u mnie też. Ale taka „dekówa" przytruwa gości nielegalnie, znaczy się pokątnie. A u mnie wszystko na widoku, ja szwindlu nie robię, tylko czysty interes. Ja, panie, ja mam patent na ten wyszynk, legalnie! No to o co się rozchodzi?

— No właśnie?

ZAWIŚĆ

Wojna zastała Tadeusza Brezę nad pisaniem tej powieści. „Zawiść" początkowo nosiła tytuł „Biała laska", ale właściwie „rozgryzała i wałkowała" — jak napisał Breza w swoim notatniku — wciąż to jedno uczucie: zawiści.

Po wojnie inne sprawy były ważniejsze niż zawiści ustabilizowanego świata. Po wojnie świat się dopiero stabilizował i ogromna polska (a właściwie światowa) zawiść przyjść miała dużo później. Odłożył więc Breza swoją „Białą laskę" i tuż po wojnie napisał „Mury Jerycha".

Pracę nad „Białą laską" rozpoczął Breza ponownie dopiero jesienią 1960 roku. Pierwszy fragment opublikowano już po śmierci pisarza w roku 1971. Opatrzony był słowem wstępnym w którym Breza pisze: „Powieść dotyczy wyłącznie jednego uczucia i wyłącznie jedno uczucie analizuje: zawiść. Zdaje się że nie jest jej mniej w dzisiejszym świecie, niż w tym świecie sprzed lat dwudziestu który opisałem. Nie jest jej mniej, ponieważ jest i nieuleczalna i wieczna".

Wydania „Zawiści" dokonano z maszynopisu powieści, którego pierwszych kilkadziesiąt kart poddał autor jeszcze pewnym korektom — niemniej nie był to tekst przygotowany ostatecznie do druku. Jest więc — o paradoksie — jedna z najwcześniejszych, a jednocześnie ostatnia książka Tadeusza Brezy. Obecnie ukazuje się jej trzecie wydanie, podobnie jak poprzednie — z interesującym posłowiem Michała Sprusińskiego.

Tadeusz Breza „Zawiść". Czytelnik, cena 65 zł.

PRZYBORA

Któż nie zna Jeremiego Przybory? Pokolenie wychowane na „Teatrze Eterek" z lat pięćdziesiątych — zachwycało się „Kabaretem Starszych Panów" w latach sześćdziesiątych, aby w latach siedemdziesiątych postawić sobie na półce „Dzieła wybrane" Jeremiego Przybory.

Owe „dzieła wybrane" to ponad 550-stronicowy tom zatytułowany „Mieszanka firmowa". Firma to w istocie znakomita — od Przybory zaczęły się wszystkie najlepsze kabarety współczesne — z Przybory wywodzą się autorzy, którzy „Teatru Eterek" słuchali w kołysce.

W „Mieszance firmowej" wybór najlepszych utworów od (wspomnianego już) Eterka, poprzez „Listy z podróży", „Miłość do mgr Bioćrowicz", „Kabaret Starszych Panów" — po „Divertimento". Wzruszająca to i pełna wspomnień lektura.

Na koniec jedna pretensja. Chyba należało oddać aktorom co aktorskie oni też mieli swój (znakomity) współudział w tworzeniu postaci świata Jeremiego Przybory. Któż dziś pamięta Mundzia — Tadeusza Fijewskiego, Eufemię — Irenę Kwiatkowską czy prof. Peduszkę — Adama Mularczyka? Myślę więc że przy okazji tej książki należało jednak przypomnieć aktorów.

Jeremi Przybora „Mieszanka firmowa". Czytelnik, cena 60 zł

DEGAS

Dwa lata temu ukazała się w Polsce piękna książka o Utrillu pióra Jeana Paula Crespelle'a. Ten znakomity krytyk sztuki w paryskim piśmie „France Soir" jest autorem wielu cenionych książek o malarzach m.in. o Chagallu, Picassie, Modiglianim...

W kolejnej swojej monografii francuski krytyk przedstawia czytelnikowi na podstawie licznych dokumentów, korespondencji i wspomnień — Edgara Degas (1834—1917), malarza, który odegrał znaczną rolę w okresie batalii o impresjonizm.

Autora interesuje nie tylko twórczość Degasa, na którą składają się: malarstwo, grafika i rzeźba, a nawet fotografia, ale przede wszystkim niezwykle skomplikowana i pełna specyczności osobowość człowieka wiodącego samotne życie podporządkowane jedynej tylko pasji — sztuce.

Jean Paul Crespelle „Degas i jego świat", PIW, cena 50 zł

KINO I TELEWIZJA

Nakładem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych ukazał się tom „Kino i telewizja" pod redakcją prof. Bolesława W. Lewickiego. Jest to praca zbiorowa wykonana przez zespół pracowników Zakładu Wiedzy o Filmie i Telewizji Uniwersytetu Łódzkiego: Ewelinę Nurczyńską, Jana Reka, Tadeusza Szczepańskiego i Pole Wert.

Sygnalizujemy dziś tę książkę, rezerwując sobie wszakże prawo do szerszego omówienia. Dziś tylko wspomnimy że jest to — pionierska właściwie — praca przeznaczona dla nauczycieli i stanowi zbiór informacji o stanie dzisiejszej wiedzy o filmie, kinie i telewizji, a jednocześnie jest komunikatem z frontu aktualnych spraw filmoznawstwa.

„Kino i telewizja" — praca zbiorowa pod red. B. Lewickiego, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, cena zł 41.

IDEOLOGIA I LITERATURA

Studium Alberta Bielajewa, wybitnego amerykanisty radzieckiego, to szczegółowa monografia bardzo ważnego dla rozumienia istotnego dla literatury radzieckiej problemu — recepcji literatury radzieckiej jej zagadnień jej etapów rozwojowych i cech charakterystycznych przez amerykańskich historyków i krytyków literatury.

Wykorzystuje ona rozległy materiał faktyczny i zawiera marksistowską wykładnię zarówno najważniejszych kwestii z dziejów literatury radzieckiej od jej zarania do lat ostatnich, jak i obraz tej literatury na tle literatury światowej.

Jest to równocześnie studium obrazujące drogi recepcji literatury radzieckiej przez czytelnika amerykańskiego poznającego ją stopniowo dzięki wysiłkom wydawnictw postępowych i staraniom oraz sympatii pisarzy amerykańskich miłośników tej literatury. Ta dążność do syntezy jest ważną cechą pracy Alberta Bielajewa i korzystnie wyróżnia ją spośród wielu innych prac, podejmujących ważne ale często cząstkowe problemy z tej dziedziny ideologicznej.

Albert Bielajew „Walka ideologiczna i literatura". Czytelnik, cena zł 40.

WARTO PRZECZYTAĆ

J. Braun „Oddech planety" PIW, cena zł 20.
L. Prorok „Freja — zimna bogini miłości". Ossolineum, cena zł 15
A. Baumgarten „Wilki za progiem" MON cena zł 36.
G. Calinescu „Poeta miłości" Czytelnik cena zł 37.
T. Rejniak „Medale w chmurach" MON cena zł 45.
J. M. Gisges „Czas słyszany po latach" Czytelnik cena zł 22.
F. Dostojewski „Zbrodnia i kara" PIW cena zł 80
J. Rosnowska „Goszczyński" LSW cena zł 90.
J. Stefanowicz „Bunt mniejszości Współczesne separatyzmy narodowe" Wiedza Powszechna cena zł 15

JERZY URBANKIEWICZ

JĘTYSZAŁ PILNIE POSZUKIWANY

Bywa tak nie tylko w teatrze, że życie dokonuje korekty niebacznie powziętych decyzji i narzuca człowiekowi działalność, na pierwszy rzut oka może nawet niemiłą, a przecież najodpowiedniejszą, a w rezultacie — ulubioną. Może nie najlepszym przykładem tego zjawiska był Stefan Heine. Ciągnęło go do teatru a kiedy już się znalazł w zasięgu oddziaływania jego czaru wybrał bezbłędnie zawód suflera i nie dał się wciągnąć w szeregi aktorów, pomimo namów Osterwy. Natomiast Karol Łabęcki wymarzył sobie zawód aktora, zagrał tę i ową rolę, ale kiedy życie dokonało poprawek, został inspicjentem, i to znakomitym, tak znakomitym, że pamięć jego poczynań przetrwała dziesiątki lat, a relacja niniejsza jest próbą utrwalenia tej pamięci na dłużej.

Rola inspicjenta była kiedyś i pozostała do dziś ogromna. Tyle że dziś urządzenia techniczne stanowią wyrękę. Nagrany na taśmę autentyczny kogut odśpiewa swoją partię w momencie przewidzianym scenariuszem; dawniej dobry inspicjent musiał naśladować zwierzęta i ptaki przy użyciu własnych strun głosowych. Dziś świst wiatru porywy huraganu, pioruny i szumy deszczu stoją na półkach efektoteki i w stosownej chwili stają się tłem dźwiękowym scenicznych wydarzeń; dawniej — inspicjent wiedział, jakim rodzajem grochu i w jakim bębnie robi się szum deszczu, i jak trzeba użyć fasoli, by powstał efekt burzy. Słowem — elektrotechnika i elektronika zmieniły charakter pracy inspicjenta, ale nie uczyły nic z jej doniosłości. Kiedy reżyser odetchnie po stworzeniu własnej wizji utworu dramatycznego, wizję tę przejmuje inspicjent i odtąd on wcieli ją w życie na kolejnych przedstawieniach. A przecież na to, co nabożnie schylając głów, nazywamy artystyczną wizją sztuki, składają się wejście aktorów, ruchy dekoracji, używane na scenie rekwizyty, wznoszenie się i opadanie kurtyny, zapalanie się i gaśnięcie świateł, kanonada i inne efekty dźwiękowe. Inspicjent odpowiada za to, by te rozliczne przedmioty, ruchy i dźwięki skomponowały się w sztukę taką to a taką. Toteż inspicjenta w przedstawieniu teatralnym porównuja do kapitana okrętu, któremu podlega wszystko co żyje na pokładzie i jest to porównanie bardzo trafne. Może ta ważność funkcji spowodowała, że Karol Łabecki o dyrektorce Teatru Miejskiego, znakomitej Stanisławie Wysockiej mówił zawsze „Stacha". A może poufałość tę można położyć na karb jego oryginalności i wrodzonego poczucia humoru. Jego z kolei nazywano poufale „Łabędziem" i wszyscy pracownicy Teatru codziennie witali go frazą z Lehengrina: „Łabędziu mój", co jeśli mu się w ciągu długich lat pracy nie sprzykrzyło, wskazuje na jedną jeszcze dodatnią cechę: pobłażliwość.

Był człowiekiem dowcipnym, ukoronowaniem zaś jego inwencji w dziedzinie śmiesznych pomysłów było następujące wydarzenie.

Funkcję rekwizytorki pełniła pewna Niemka, która znalazła się w teatrze skutkiem tego, że mąż jej niemiecki aktor dramatyczny zginął w czasie wojny (oczywiście pierwszej), więc aktorzy łódzcy przez zawodową solidność wyszukali taką właśnie pracę wdowie po niemieckim koledze. Rekwizytorka z pewnym trudem poruszała się w dziedzinie fonetyki polskiej, co wykorzystywano czasami dla nieskomplikowanych żartów. Natomiast Łabęcki wpadł kiedyś na szatański pomysł, który okazał się kłopotliwy nie tylko dla rekwizytorki. Mianowicie przygotowując się do „Zemsty", sporządził długą listę rekwizytów, a wśród nich napisał: „jetyszal — sztuk 1". Niemka bała się widocznie zapytać wprost inspicjenta co to takiego więc przeszukała najpierw całą rekwizytornię następnie poczęła delikatnie wypytywać aktorów i innych pracowników teatru. Aktorzy grający w „Zemście" rozszyfrowali tajemniczy przedmiot dość szybko. Po prostu rejent kiedy namawia murarzy do fałszywych zeznań, powiada: „Stary Cześnik jety szalem strzelał do mnie..." Nikt jednak nie śpieszył z wyjaśnieniem żartu. Co więcej Jan Mroziński poradził rekwizytorce, by dała ogłoszenie do gazety, i rzeczywiście ogłoszenie takie ukazało się bodaj w „Kurierze Łódzkim". Ludzie znosili przeróżne przedmioty: szapoklaki, klatki z papugami, stare żelazka i pułapki na myszy. Zabawa trwała aż do premiery.

Pewne ciągoty aktorskie miał też inny inspicjent Teatru Miejskiego Jan Prosnak. Być może, nie czuł się on w zawodzie swoim tak dobrze, jak Karol Łabecki, czasami bowiem naprasz ał się i występował w epizodach ale nawet swoje trzeciorzędne rólki kreował według własnych poglądów, własnego rozumienia sztuki. Kiedy więc w „Klubie kawalerów" zagrał kelnera, uczynił go kulawym. Na pytanie, dlaczego kelner musiał kuleć, odpowiedział, że w Ciechocinku, w okresie prosperity był zapewne taki brak ludzi do pracy, że zatrudniano nawet kulawych. Jadwigę Andrzejewską, która też grała w tej sztuce, to racjonalne tło ułomności tak bawiło, że na każdym przedstawieniu od pierwszego wejścia kelnera aż do ostatniej kurtyny z trudem hamowała śmiech.

Pomysł kulawego kelnera z powodów logicznie tak odległych każe też wspomnieć pewnego ze szczętem dziś zapomnianego reżysera, który chciał wprowadzić balet do „Obrony Częstochowy". „No przecież Szwedzi oblegający tak długo Częstochowę — twierdził reżyser — musieli mieć jakąś rozrywkę".

Karol Łabęcki miał osobliwą opinię o Hildzie Skrzydłowskiej. Często przerywał próbę i mówił do aktorów: „Tu zechca panowie mieć trochę zapasowej prozy lub wierszyk. Gdyż w tym miejscu wchodzi pani Skrzydłowska. Może nie wejść. Zresztą teraz też nie wejdzie. Ale już wysłałem umyślnych, by ją odszukali".

Była artystką dramatyczną, grywała role różne, po Joannę D'Arc włącznie, ale znakomita też była w komediach i farsach. Przy jej jednak temperamencie najtrudniej chyba było jej grać w **Naszym mieście** Wildera. W ostatnim akcie mieszkańcy miasteczka siedzą na krzesłach imitujących wnętrza mogił i snują swoje poważne rozmowy ludzi z tamtego świata. Hildzie Skrzydłowskiej bardzo było trudno wytrzymać cały akt nieruchomo, więc się wiercila znacznie więcej, niż by to nieboszczykowi wypadało. Dowcipny Łabecki pochylił się wtedy do ucha suflera Stefana Heine i powiedział: „Słuchaj Stefan, zdaje się, że naszą Hildę już jedzą..."

Przygody inspicjentów z aktorami a zwłaszcza z aktorkami bywały częste i różnorodne. W końcu ubiegłego stulecia w zespole do którego należał m.in. Lucjan Kościelecki i Józef Nowakowski funkcję inspicjenta pełnił człowiek, którego tylko imię zostało w ludzkiej pamięci, niejaki „Stefan". Podobnie jak Łabecki nazywał Stanisławę Wysocką „Stacha", on swego dyrektora, Woźniakowskiego nazywał „Stachem". Widocznie z zawodem tym wiąże się pewna doza poufałości w stosunku do szefów. Stefan słynął z umiejętności przerzucania własnych obowiązków na innych, zwłaszcza na młodych adeptów sztuki teatralnej. Ponieważ do obowiązków inspicjenta należało przepisywanie (ręczne!) ról, Stefan załatwiał to w ten sposób, że wychodził przed teatr, gdzie zwykle stała grupka młodych ludzi chętnych do statystowania i rzucał im pytanie:

— Panowie! Kto z was chce grać w teatrze?

Zgłaszali się wszyscy. Wybierał spośród nich kilku, udając że się opiera o jakieś kryteria. Prowadził ich na scenę i robił — jak sam to określał — próbę.

— Widzicie, panowie, krowienci — przemawiał do nich — podobaliście się m n i e i panu dyrektorowi, ale chcąc grać w teatrze, trzeba umieć pisać. Otóż, który z was pisze?

Zwykle zgłaszali się wszyscy. Wtedy dawał im role do przepisania z terminem trzydniowym. Po trzech dniach prace ich skrytykował ale zabrał i sam inkasował należne za te prace pieniądze. Znał i inne sposoby zdobywania pieniędzy. Jeśli zaangażował 28 statystów to mówił dyrektorowi, że 40-tu. Potem ich ustawiał obok kulis, on liczył oni zaś obchodzili kulisę i wracali, póki się nie doliczył 40-tu.

W Teatrze Wojska Polskiego pracował inspicjent nazwiskiem Ciepliński. W jednej ze sztuk była burza, której efekty dźwiękowe robił perkusista na bębnach i kotłach, działał zaś na sygnał dany światłem przez inspicjenta. Kiedyś jednak spaliła się żarówka Ciepliński naciska włącznik i naciska a piorunów nie słychać. Pobiegł więc do orkiestronu i widząc że perkusisty nie ma przy kotłach, począł wołać: „Bum, bum, trrrrach, wrrrrr...!"

Jeśli rola inspicjenta jest w teatrze bardzo ważna, to jeszcze ważniejsza jest w operze. Kazimierz Cybulski inspicjent Teatru Wielkiego, ma za sobą naukę gry na trąbce w średniej szkole muzycznej i klasę śpiewu w Wyższej. Początkowo śpiewał na scenie, ale bronchit zepsuł mu głos, podjął więc tę odpowiedzialną pracę. Do normalnych obowiązków związanych z tą funkcją dochodzi jeszcze znajomość partytury i umiejętność orientowania się na słuch co się właśnie dzieje, kto ma wejść, czy też — co należy zmienić.

Cdn.

POMIARY W CIENIU

„Nie wiem czy pisanie poezji, a także krytyki jest dalej komukolwiek potrzebne i w ogóle możliwe. (...) Poezja miała może (...) szanse przetrwania. Jej historycznym orędziem było zerwanie przymierza z głosem. Dopóki miało jakiś sens, aby jeden człowiek mówił do drugiego człowieka wierszem, dopóty funkcja poezji była oczywista". Sprzeniewierzywszy się elementarnym właściwościom swego tworzywa sztuka słowa „rozwija się wprawdzie niezwykle w wysokich regionach komplikacji, ale wszystko to razem obchodzi już teraz szczupłą garstkę specjalistów".

„Cień ręki" Piotra Kuncewicza, mimo przytoczone wątpliwości autora, podejmuje trud przybliżenia czytelnikowi „współczesnej i prawie współczesnej" poezji polskiej. Różnorodne wypowiedzi których jest ona przedmiotem: od recenzji, szkiców interpretacyjnych po opracowania kompleksowe, realizują zresztą nie tylko zadania krytyki, lecz wykraczają poza nie, ku refleksji historyczno- i teoretycznoliterackiej. W każdorazowym podejściu do faktu literackiego Kuncewicz — sam poeta — łączy finezyjną kulturę interpretacji z optyką wnikliwego badacza, historyka literatury który artyście użyczył swych instrumentów. Właściwe wyważenie proporcji między temperamentem subiektywnych wartościowań a racjonalnym dystansem zapewnia jakże ważną przejrzystość dowodzenia i logiczną wyrazistość rozważań, nie pozbawionych przy tym narracyjnej plastyki.

I tak istotny krąg przemyśleń dotyczy ciągłości rozwojowej poezji polskiej na przestrzeni ostatnich lat pięćdziesięciu ze szczególnym skupieniem uwagi na ewolucji liryki w literaturze Polski Ludowej. Warto dostrzec że opracowanie nie najtatwiejszego bądź co bądź problemu, przybiera pod piórem Kuncewicza postać rozsądnie zsyntetyzowanego przeglądu węzłowych momentów tego procesu. Oto zerwawszy, jak wiadomo, po roku 1918 z ideologią narodowowyzwoleńczą, kreśli literatura, rozmaicie pojęty i odmiennie realizowany, nowatorski program artystyczny. Ówczesne formacje poetyckie: Skamander, futuryści. Awangarda emanuje optymizm, wiarę w przyszłość, kultywuje urbanizm głosza postulat „uściśku z teraźniejszością". Początek lat trzydziestych oznacza wkroczenie nowej generacji poetów, określonych wspólnym mianem „Drugiej Awangardy". Pojęcie to, jakkolwiek wygodne, budzi pewne zastrzeżenia Kuncewicza, który pyta: „Czy wolno pleiadę poetów takich jak Sebyła, Czechowicz, Zagórski, Miłosz Rymkiewicz łączyć jednym nawiasem?" Argumentem przemawiającym za taką decyzją jest niewątpliwie fakt, iż poetyka wymienionych twórców i harmonijnie kontynuujących ich osiągnięcia pisarzy z tzw. pokolenia Kolumbów operuje patetyczną metaforyką monumentalnym wizjonerstwem i silnie emocjonalną, „ciemną" tonacją. Katastrofizm i projekcja apokaliptyczna to dominanty tej filozofii poetyckiej. Przezwyciężenie Drugiej Awangardy przynosi dopiero antytetyczna w stosunku do niej propozycja Tadeusza Różewicza, którego debiut w roku 1947 inicjuje zarazem dzieje poezji powojennej. Kontynuacja procesu rozwojowego polega tym razem na uruchomieniu mechanizmu negacji: poetyka Różewicza, nastrojona na szarość, przeciętność, zwyczajność uwydatnia je na wszystkich piętrach artystycznej struktury utworu.

Po okresie zwężenia twórczej wrażliwości znowu eksploduje żywioł poezji. Raz jeszcze odrzucono wznosłe uczucia i pojęcia na rzecz powściągliwości ekspresyjnego minimalizmu. Raz jeszcze — bo rewolucja awangardowa lat dwudziestych podobnie sobie poczynała jak pokolenie 1956. Zbrutalizowana materia poetycka ulega fascynacji brzydota (turpizm) i nędza ludzkiego istnienia (mizerabilizm). I wreszcie kolejna zmiana frontu. Nie ma manifestów, nie ma likwidatorskiego buntu. Poeci „występują każdy na swój sposób i inaczej pod znak mistycznej oracyjności inwokacyjności drugiej awangardy". A więc rozwój liryki polskiej — poczynając od roku 1918 do lat 60-tych (szkice Kuncewicza nie obejmują bowiem Nowej Fali po r. 1970) — to ciąg powtarzających się cykli, zamykających się kół. Czy determinuje je teoria „wiecznego powrotu" lub koncepcja rozwoju spiralnego, czy też mamy tu do czynienia z przypadkową analogią?

Jednoznaczna odpowiedź na te pytania jest równie trudna jak intencja uporządkowania czy zhierarchizowania nurtów i zjawisk poezji współczesnej. Casus Wojciecha Bąka, debiutanta z roku 1934 który odmówił przyjęcia nagrody „Wiadomości Literackich", z uporem przeciwstawiając się w trakcie całej swej twórczości wpisywaniu go w jakąś konwencję artystyczną unaocznia daremność takich wysiłków, zwłaszcza, gdy sam poeta tego nie chce.

Rozmaitość tematyczna i bogactwo refleksji, które znamionuje szkice Kuncewicza idzie w parze z wielostronnością sposobów interpretacji i prezentacji zjawisk. O twórcach współczesnych, z którymi łącza go nieokonieczne profesionalne więzi, wypowiada się niemal serdecznie przybliżając sylwetkę artysty perspektywa ciepłego liryzmu („O poezji Zdzisława Jerzego Bolka"), bądź przyjacielskiej kpiny („Portret współczesny"). Krytyk określa tę swoją metodę jako „wyprowadzenie liryki z sytuacji pozaliterackiej". Konteksty ów nie objawia się jednak zawsze tak anegdotycznie, przeciwnie — w wielu wywodach pojawia się wizja historyka literatury. Dzieje się tak m. in. wówczas, gdy Kuncewicz pisze o Tadeuszu Micińskim, Stanisławie Grochowiaku, czy o Żagarach. Klasycznym niemalże przykładem realizacji, o której mowa, są właśnie Żagary. Awangarda wileńska nieslychanie wyraziście objawiła w swej poezji problematykę historiozoficzną, w wersji katastroficznej oczywiście, co skłoniło krytyka, zafrapowanego chyba zagadnieniem wpływu historiozofii na literaturę, do całościowego opracowania filozofii poetyckiej Żagarów. Symboliczna inwokacja do „młodszego brata": „Ty którego nie mogłem ocalić, wysłuchaj mnie" znalazła odzew. Ujmując go w formę „Autoportretu" Jerzy Waleńczyk sarkastycznie określa swój status: „To ja, niestety, ja ze złamaną spinką, z książeczką wpłat za najem lokalu".

Kuncewicz uważa, że rodząca zwątpienie w sens uprawiania krytyki nietrwałość sądów i ocen nie zwalnia humanistów z obowiązku porządkowania i spierania się o sens współczesności kulturalnej. Opatrzona sceptycznymi wyznaniami książka tego krytyka jest właśnie próbą porządkującą, próbą opisania i wyjaśnienia znamiennych analogii, powtórzeń i nawrotów na drodze rozwojowej naszej poezji XX wieku.

ELŻBIETA OSTROWSKA-JACKOWSKA

Piotr Kuncewicz. Cień ręki. Szkice o poezji. Łódź 1977, ss. 254, cena 25 zł.

EMPIROWY PASJANS

Waldemar Łysiak wrzekł mnie swoją „Francuską ścieżką", ale zachwycił „Empirowym pasjansem". To rzadka sztuka umieć łączyć w taki piękny sposób ogromną erudycję z prostotą, ekspresyjnością i pięknem języka.

„Emiprowy pasjans" jest opowieścią o postaciach z kręgu Napoleona — a Łysiak jest zdaje się ostatnim (a na pewno największym) bonapartystą w PRL. Swój pasjans ułożył Łysiak tak: **cztery asy — Fouché, Schulmeister, Vidoq i Surcouf; cztery króle — Murad, Tipu-Sahib, Selim III i Ali Tebelen; cztery damy — Stanhope, Lenormand, Récamier i Borghèse; cztery walety — Cambronne, Ney, Piątkowski i Montholon oraz tajemniczy Joker, o którym nic nie wiadomo poza tym, że istniał. Chodzi o sobowtóra Napoleona.**

Oczywiście ta wyliczanka nic czytelnikowi nie mówi. Jeszcze Vidoq czy Schulmeister są nieco znani dzięki serialom telewizyjnym, także minister policji, Fouché, przewijający się przez parę filmów... Madame Récamier, znamy z obrazu Davida, Cambronne'a ze słynnego zawołania: „Gwardia ginie, ale nie poddaje się" — a zresztą być **może zawołał** tylko: „Merde" (gówno!) na propozycję poddania się...

A reszta? Któż tak na dobrą sprawę zna dokładnie epokę napoleońską? Waldemar Łysiak opowiada nam o tamtych czasach w sposób porywający. To oczywiście jest esej historyczny, ale nawiązujący do najlepszych tradycji polskiego piśmiennictwa. Jest w pisarstwie Łysiaka jeszcze owa francuska lekkość i dowcip, jest nerw polemiczny...

Pisze Łysiak o Piątkowskim — Polaku, który towarzyszył Napoleonowi w zesłaniu na wyspę Świętej Heleny: **„I pomyśleć, że historycy francuscy nazwali brytyjskim szpiegiem człowieka, który rwał się do batożenia Anglików szpicrutą i którego Anglicy, gdy ich już na dobre rozeźlił, wyrzucili z wyspy na zbitą twarz".**

I pisze dalej: **„Kim więc był? Był ostatnim błędnym rycerzem Empire'u, z tej rasy baronów Münchhausenów, dzięki którym historia ma rumieńce i zamienia się w bajkę (...) Przez tą fanatyczną, dziecięcą miłość do Napoleona, jest dla mnie Piątkowski czymś więcej — symbolem polskiej fascynacji legendą „boga wojny". Taka była wówczas ta polsko-szwoleżerska miłość do cesarza, lunatyczna, ślepa, dziecięca, najszczersza i najwierniejsza. Gdy po klęsce 1812 roku zdradzili Bonapartego sprzymierzeńcy z wyprawy na Moskwę (Prusacy i Austriacy), a po Lipsku wszyscy inni: Hiszpanie, Włosi, Portugalczycy, Belgowie, Dalmatowie, Holendrzy, Westfalczycy, Bawarczycy, Heskodarmsztadczycy, Witemberczycy, Badeńczycy i Sasi i w końcu sami Francuzi — zostaliśmy już tylko my (...) Bośmy dali słowo, że do końca... Nie było w tym mądrości politycznej, przeciwnie, było historyczne i nieśmiertelne polskie frajerstwo, bo za cóż innego uważa się powszechnie wierność przegrywającej sprawie zdeterminowaną słowem, które się dało? Przed 1939 nam też dano słowo..."**

Jest w eseju historycznym Waldemara Łysiaka wiele refleksji o epoce Empire'u, ale nie tylko. Jest o grach politycznych, o braku godności i łamania umów, jest o zdradach... Napoleon był chyba najbardziej zdradzanym władcą w Europie. I ci, którzy zdradzali, wychodzili na tym z reguły lepiej niż ci, którzy zostawali wierni do końca.

Jak choćby marszałek Michał Ney, którego sami Francuzi skazali na śmierć w operetkowym i dramatycznym procesie o zdradę stanu. Bowiem Historia nie zna uniewinnień w procesach o zdradę stanu. Rozstrzelano go nie opodal placu Luxembourg, a w 60 lat potem postawiono mu w tym miejscu pomnik.

Takie są paradoksy i grymasy historii. Piątkowski dożył sędziwych lat we względnym dobrobycie (otrzymał od Francuzów rentę w wysokości 4 tys. franków, a potem francuscy historycy dorobili mu gębę szpiega. Ney został zamordowany po najokrutniejszym z procesów, a potem opromieniono go sławą najwaleczniejszego z walecznych.

Wspominam tylko o tych dwóch postaciach z „Empirowego pasjansa", było ich tam wszak siedemnaście. Ale całą resztę tego pięknego eseju z pięknej lecz i okrutnej epoki niech już czytelnik pozna sam. **„Dobrze mi na mojej empirowej równinie"** — wyznaje Waldemar Łysiak. **„Może to i głupie, jeśli przyjąć za dobrą monetę słowa Lelouche'a, iż „idiotyzmem jest zajmowanie się jakimkolwiek innym wiekiem, gdy się ma do dyspozycji wiek XX". „Według mnie — pisze Łysiak — ta moneta jest fałszywa. Historia nie jest dla mnie czasem przeszłym".**

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Już od samej kołyski Polonus świętokrzyski!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

HISTORIA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

Rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej zainspirowała historyków i publicystów do przypomnienia rewolucyjnych więzi narodu polskiego z narodami Kraju Rad. Ukazało się wiele okolicznościowych publikacji, zarówno prac naukowych, jak popularnych, adresowanych do szerokiego kręgu czytelników. Poczesne miejsce zajmuje wśród nich dzieło zbiorowe, którego tom pierwszy wydany został niedawno (1977) przez moskiewskie Wydawnictwo Literatury Politycznej. Praca ta opatrzona została tytułem: „ZSRR i Polska. Międzynarodowe związki — historia i współczesność" i stanowi rezultat współpracy Instytutu Marksizmu — Leninizmu przy KC KPZR oraz Instytutu Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR.

Obliczona na dwa tomy publikacja — tom drugi jeszcze się nie pojawił — posiada jak najbardziej aktualny charakter. Zespołowi autorskiemu chodziło w niej — jak podkreślili to w przedmowie redaktorzy dzieła — nie tyle o pełną, systematyczną, w chronologicznym porządku prezentację kształtowania się i rozwoju rewolucyjnych więzi narodów obu krajów, ale przede wszystkim o zwrócenie uwagi na szczególnie istotne zagadnienia, o znaczeniu węzłowym, które w dotychczasowej literaturze nie zostały dotąd należycie wyświetlone. „W artykułach, które znalazły się w pierwszym tomie pracy, ukazano — czytamy we przedmowie — że ruch wyzwoleńczy narodu polskiego, który najbardziej wyraziście przejawił się w jego zbrojnych wystąpieniach w XIX stuleciu spotykał się z przychylnością i poparciem sił rewolucyjnych Rosji. W ostatnim trzydziestoleciu tego stulecia rozwinęły się i nabrały ogromnego znaczenia więzi rosyjskich i polskich socjalistów". W tej właśnie perspektywie autorzy dzieła ukazali znaczenie, jakie dla rozwoju polskiego ruchu rewolucyjnego posiadały inspiracje leninowskie. Wiele uwagi poświęcono w pracy czynnikom, warunkującym — „ścisłe rewolucyjne związki proletariatu Rosji i Polski, roli rewolucyjnych — przede wszystkim marksistowsko-leninowskich — organizacji klasy robotniczej w walce z uciskiem i wyzyskiem, o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej". Związki te stały się następnie podstawą dla wielkich przeobrażeń społecznych i politycznych naszego narodu.

Na przedstawiany tu tom złożyły się prace osiemnastu autorów: dziesięciu historyków radzieckich i ośmiu polskich. Całość otworzył szkic Henryka Jabłońskiego zatytułowany „Historia i współczesność". Przynosi on syntetyczny rzut oka na znaczenie rewolucyjnych związków narodów obu krajów zarówno w przeszłości, jak we współczesności. Radzieccy badacze W. Djakow i I. Miller zaprezentowali studium o tradycjach polsko-rosyjskiej współpracy rewolucyjnej w epoce polskich powstań narodowych, zaś polski historyk Z. Łukawski omówił udział Polaków w rosyjskim ruchu rewolucyjnym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Znany badacz radziecki A. Oriechow opracował studium o związkach rosyjskich i polskich socjaldemokratów pod koniec XIX stulecia, zaś A. Manusiewicz pracę o wspólnej walce marksistów obu krajów o organizacyjną jedność ruchu robotniczego. J. Myśliński rozważył w swym artykule stanowisko PPS wobec rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, zaś W. Bułat omówił stanowisko rosyjskich obozów politycznych wobec sprawy polskiej w 1905 roku. Artykuł J. Sobczaka dotknął ważnego zagadnienia udziału polskich socjaldemokratów w wewnątrzpartyjnym życiu RSDRP w latach 1906—1911, W. Toporowicz zajęła się stosunkiem rosyjskich partii politycznych do sprawy polskiej podczas I wojny światowej i w okresie rewolucji lutowej. Z kolei B. Radlak omówił stanowisko polskich partii socjalistycznych wobec Rewolucji Październikowej, zaś radziecka badaczka R. Jermołowa zajęła się polskimi uczestnikami wydarzeń rewolucyjnych w Rosji i działaczami wojny domowej. Dzieje współpracy rosyjskich i polskich komunistów na forum Kominternu omówione zostały w artykule W. Niewolinej; w studium W. Gornego i I. Łukowcewej przedstawiono zagadnienia życia politycznego polskich środowisk robotniczych w Związku Radzieckim w latach dwudziestych. Szkic A. Tymienieckiej został poświęcony przypomnieniu walki KPP oraz polskiej lewicy socjalistycznej o przyjaźni z Krajem Rad w okresie przedwojennym. Całość tomu zamknęła praca dwóch autorów radzieckich P. Olszańskiego i S. Falkowicza zatytułowana „Internacjonalistyczna polityka KPZR w stosunkach polsko-radzieckich", dotycząca w całości lat międzywojennych. Należy sądzić, że problematyka czasów bliższych współczesności znajdzie swoje równie wielostronne przedstawienie w kolejnym, drugim tomie tego dzieła.

Pierwszy tom polsko-radzieckiej publikacji „ZSRR i Polska" stanowi dzieło o wysokiej wartości naukowej i ideowo-politycznej, ukazujące zróżnicowane aspekty żywej tradycji narodów obu zaprzyjaźnionych krajów. Godzi się tu podkreślić, że zebrane w nim artykuły i rozprawy w większości przypadków oparte zostały o badania archiwalne, że wprowadzają do naukowego obiegu szereg nieznanych dotychczas faktów historycznych, niejednokrotnie pierwszorzędnego znaczenia. Czy nie warto byłoby pomyśleć, aby praca ta ukazała się również w języku polskim?

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZABAWA W ĆWIERĆINTELIGENCJĘ

Co prawda „Księga cytatów z polskiej literatury pięknej" stała się swego czasu autentycznym bestsellerem, ale nikt przecież nie sądzi, że biegłość w cytatach świadczy o prawdziwej znajomości literatury. Z drugiej jednak strony dla nikogo nie ulega wątpliwości, że zupełny brak orientacji w tym względzie świadczy jednak — niestety — o analfabetyzmie kulturalnym.

Ostatnio w telewizyjnym programie „Kółko i krzyżyk" dwaj panowie inżynierowie (którzy chyba jednak uprzednio zrobili maturę) dali zupełnie wyjątkowy koncert rozrywkowy, próbując przez kilkanaście minut odpowiedzieć na kilkanaście pytań z tematu „cytaty".

Panowie inżynierowie bawili się świetnie, prowadzący audycje Bolesław Kielski był raczej zażenowany. A telewidzowie? Jednych ogarniał śmiech pusty, a innych litość i trwoga. Nawiasem mówiąc to też cytat z „Powrotu taty" Adama Mickiewicza.

Ale do rzeczy. Cytatów z Mickiewicza było w audycji sporo — niestety poeta ten zdaje się być dla uczestników quizu raczej nieznany. **„Długie nocne rodaków rozmowy..."** — znany to cytat z jeszcze bardziej znanego wiersza „Do Matki Polki", ale inż. Kowalski jest przekonany, że to z „Pana Tadeusza"...

Wagarował z lekcji polskiego także drugi uczestnik programu, Bolesław Kielski cytuje „Czaty" Mickiewicza, a zadaniem inż. Klimaszewskiego jest uzupełnić ostatnie słowo. **„I wypalił w sam łeb.." — „Tatarzyna!"** — krzyczy radośnie były maturzysta. **„Nie, proszę pana — wojewody"** — prostuje pan Kielski i widać już, że ma dość tej żenującej zabawy.

Zostawmy więc Mickiewicza, może panowie po prostu wieszcz nie lubią. Więc proza, więc największy polski pisarz, Bolesław Prus i nieśmiertelna „Lalka". I znowu panowie nie wiedzą, nie czytali, nie kojarzą, że Wokulski ożenił się z Małgorzatą Minclową...

Zabawa zaczyna robić się przykra i żenująca, ale obaj panowie świetnie się bawią. My trochę mniej.

Ale może panowie preferują literaturę nieco lżejszego kalibru, może Wiech, wszak są to warszawiacy.

Nic z tych rzeczy. Panowie nie kojarzą, że **„Znakiem tego"** jest tytułem książki Wiecha, skłaniają się raczej do niczym nie uzasadnionej opinii, że napisał taką książkę Jarosław Iwaszkiewicz. Czyli — Iwaszkiewicza też nie czytali.

Sienkiewicza również nie, bo nie przypomina im się wstrząsająca scena śmierci Jurandówny z „Krzyżaków". Są raczej zdania, że to... Oleńka Billewiczówna.

Więc co, u licha, czytali ci panowie!

W tej sytuacji swego rodzaju okrucieństwem było pytanie o cytat z „Bogurodzicy". Przecież ktoś, kto nawet Wiecha z „Expressu Wieczornego" nie czyta, nie może w ogóle wiedzieć, co to była „Bogurodzica".

Przejdźmy więc do popularnych (jak dla kogo) powiedzonek i cytatów, które weszły do mowy potocznej, do kanonu każdego kulturalnego człowieka. **„Jam nie z soli, ani z roli, jeno z tego, co mnie boli"** — to oczywiście hetman Stefan Czarniecki. Ale dla pana Kowalskiego słowa te powiedział... Tadeusz Kościuszko.

Pan Klimaszewski natomiast jest zdania, że **„Wiem, że nic nie wiem"** powiedział... Arystoteles.

I to słynne powiedzenie Sokratesa jest kluczem do owej żenującej zabawy w ćwierćinteligencję. Na koniec cytat z „Pamiętników kwestarza" Ignacego Chodźki, pisarza z pierwszej połowy XIX wieku: **„Cytacja ad rem jakiegoś mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi, dowodzi, owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło..."**

JERZY WILMAŃSKI

JAKA PIĘKNA JEST TA ŁÓDŹ

Byłem świadkiem takiej sceny. Oglądał ktoś w księgarni nowo wydany przez Wydawnictwo Łódzkie album fotograficzny „Łódź — Miasto i ludzie" i nagle stwierdził: — Jaka piękna jest ta Łódź. Na co dzień tego nie widać.

Zagonieni codziennością, zapatrzeni w sprawy drobne, zajęci własnymi kłopotami nie zawsze potrafimy dostrzec piękna niektórych fragmentów miasta. Nie zawsze umiemy widzieć to, co przemija i to, co się rodzi. Czasem zdarza się nam stanąć, podnieść głowę i nieoczekiwanie zobaczyć, że wyrosły nowe domy, albo że dom, koło którego tak często chodzimy jest zupełnie ładny. Warto więc uważniej przyglądać się swemu miastu. A jeśli nie umiemy tego robić to zachęcam do kupna albumu fotograficznego Jana Madejskiego i Zdzisława Waltera.

„Łódź miała już kilka albumów fotograficznych..." — pisza na wstępie obaj autorzy zdjęć. Miała, ale ich już nie ma. Dlatego chwała Wydawnictwu Łódzkiemu że ukazało nam nowy album. I myśle, że warto już myśleć o następnym, bo miasto nadal się zmienia i właściwie, to, co zarejestrowały kamery Jana Madejskiego i Zdzisława Waltera, to już historia. Tak jak daleka i odległa historia jest już album Wacława Bilińskiego „Łódź, jaka znam". Wacław Biliński zawarł w tym albumie obraz innej Łodzi, tej, która fascynowała go swoją odmiennością i niepowtarzalnością. Tej Łodzi jest już coraz mniej. Coraz szybciej odchodzi ona w przeszłość, a na jej miejscu wyrasta nowa Łódź. Miasto nowych fabryk, bloków, nowych tras komunikacyjnych.

„Oto jesteśmy w Łodzi — pisze Jerzy Wilmański, autor komentarzy do zdjęć w albumie Łódź — Miasto i ludzie" — w mieście, które było złe i było brzydkie. Czy dziś jest to miasto szczególnie piękne? Oczywiście, nie. Jest to po prostu miasto o zupełnie nowej, odmiennej twarzy".

Nic dodać nic ująć. Komentarze Jerzego Wilmańskiego są właściwie felietonami o różnych sprawach miasta, o pracy, wypoczynku, o tym, że jest to miasto kolorowe. Pokazują one jak patrzeć na Łódź, wprowadzają w atmosfere jaka chcieli swoimi zdjęciami wytworzyć obaj fotograficy.

A więc jesteśmy w Łodzi. Tej innej, nowej, zmieniającej się. Jej obraz został zarejestrowany na filmowej taśmie i przekazany nam do podziwiania. Jeśli nie mącie czasu podziwiać miasta w ruchu, na co dzień, to proszę, siądźcie sobie i popatrzcie. Oto jaka ładna jest ta Łódź!

Wszakże album fotograficzny ma też służyć i czemuś innemu niż tylko podziwianiu piękna miasta. Ma on być dokumentem, i chyba mało — mimo wszystko — mamy albumów o Łodzi. O Łodzi różnej i tej ładnej i tej brzydkiej i tej powstającej i tej przemijającej. Znikają z powierzchni ziemi całe fragmenty dawnego miasta. Rosną nowe. Czy to ktoś dokumentuje? Czy za kilka lat będzie można odtworzyć na przykład dawną ulicę Główną? Konrad Turowski przyniósł kiedyś do „Odgłosów" olbrzymi plik zdjęć z budowy trasy „W — Z". Są tam też fragmenty dawnej ulicy Głównej. Ale Konrad Turowski fascynuje się budowa tej trasy, jest jej wiernym kronikarzem i można podejrzewać, że będzie ronił gorzkie łzy, kiedy nastąpi uroczysty moment jej otwarcia. Nie jestem jednak pewny, czy w tym momencie można będzie też otworzyć wystawę porównawczą, pokazać stara i nowa ulice Główną? Może się mylę i bardzo się ucieszę, jeśli okaże się, że jestem w błędzie.

Jan Madejski i Zdzisław Walter kamery swoje kierowali przede wszystkim na to wszystko, co w Łodzi jest nowe, co uwypukla dokonujące się w mieście przemiany. Mamy więc nowe dzielnice i nowe fabryki, mamy monotonność blokowej architektury, ale też i zaskakujące urodą detale. I to nie tylko te z ulicy Piotrkowskiej, czy innych zakątków XIX-wiecznej Łodzi, ale i z naszych czasów. Te fragmenty dawnego i dzisiejszego miasta układają się w interesującą całość i oddają — jak to słusznie określił Jerzy Wilmański — „odmienną twarz miasta".

A mnie się marzy też album o starej Łodzi. Taki dokument tego, co przemija, co musi nieuchronnie za rok dwa, dziesięć odejść, zniknąć. I marzy mi się też album i tej Łodzi, która dopiero będzie, o tej, która wznosi się na Retkini czy Widzewie-Wschód, która dopiero się staje. Taki dokument przemian, dokument przemijania. Zresztą o Łodzi może być dużo i różnych albumów...

Nie wstydzę się tych marzeń, bo chciałbym, aby o naszych przeobrażeniach wiedzieli nie tylko łodzianie, ale, aby docierały wieści i obrazy o tym do innych miast. Krążą bowiem po ludzkiej świadomości różne wyobrażenia Łodzi. Nie każdy ma czas i okazję być w Łodzi i zobaczyć to wszystko, co dzieje się tu na co dzień. A przecież byłoby dobrze, aby na miejsce starych wyobrażeń powstawały nowe, aby ludzie wiedzieli że coś tu się zmienia że zmienia się szybko i zechcieli przyjechać, aby na to popatrzeć, aby byli przekonani że warto to zobaczyć. Czy chcę dużo?

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 326. I-10.